



Brazylia. — Las araukaryjski; podług fotografii.

Szkółka ludowa w missyi Sonderbondskiej.

Podług sprawozdania O. Canoy, misyjnika w Bengalu.

—o+o—

W uzupełnieniu do artykułu wyżej przytoczonego o missyi w Sonderbonds O. Canoy przysłała nam interesujące wiadomości o szkółce ludowej w Morapai. Oto co pisze ten misyjnik w dniu 14 czerwca 1893 r.:

... Oprócz stu miejscowych morapajskich wychowanków, każdego rana przybywa na lekcję liczna, wesoła i krzykliwa gromadka bengalskiej dziatwy z kilku sąsiednich wiosek. Latem całe to grono podąża zwykle pieszo, a podczas pory deszczowej w pirogach, kierowanych dłonią niezbyt wprawdzie zręcznych, lecz odważnych wiosłarzy.

W rodzinnych wsiach wszystkich naszych wychowanków, gdzie poganie dotąd jeszcze zarówno materyalną jak i liczebną mają przewagę, biedne dzieci narażone są na tysiące pokus; na każdym bowiem kroku napotykają złe przykłady, lub słyszą lekkomyślne i bezwstydne słowa. Ileż więc szkodliwych nałogów zakorzenia się w ich sercach skutkiem ciągłego zetknięcia się ze światem pogańskim, pozbawionym wszelkiego niemal pojęcia o moralności i cnocie!

Lecz oto nadchodzi szczęśliwy dzień rozpoczęcia lekcji w szkółce misyjnej, gdzie biedne dzieci, znalazłszy się w prawdziwie chrześcijańskiej atmosferze, niepostrzeżenie ulegają jej wpływowi.

W przeciągu kilku dni pierwszych, porządek wiele jeszcze pozostawia do życzenia, zewsząd bowiem coraz to nowi napływają uczniowie. Następnie misyjnik dzieli ich na kilka oddziałów, poświęcając największą bacność nielicznemu gronku dzieci, które w przeciągu roku szkolnego mają się przygotować do pierwszej Komunii. Jedyne środki pomocnicze w wykładach religii stanowią obrazy treści biblijnej, zawieszone przez misyjnika na ścianach werandy, sam zaś wykład nosi zwykle cechę poufnej pogadanki, w której krótkie pytania, lakoniczne odpowiedzi i przykłady czerpane z życia, w nader zajmujący sposób krzyżują się ze sobą. Po krótkiej nauce moralności i główniejszych prawd wiary, misyjnik zapytuje dzieci o treść wygłoszonego przed chwilą wykładu, lub każe kolejno swym uczniom odmawiać głośno modlitwy, co stanowi jakby wypoczynek dla ich umysłu. Po niejakiem czasie kapłan stara się znowu skupić na jeden przedmiot uwagę swych młodych i ruchliwych słuchaczy. Powoli w oczach dzieci coraz głębsza myśl się przebija i pewne pojęcie miłości Boga, oraz obawy Jego kar, zakorzenia się bezwiednie w młodocianych umysłach, oraz kielkuje w sercach jeszcze niezupełnie zepsutych. Dodajmy nadto ciągły widok wielkiego krzyża wznoszącego się po nad szkołą, oraz tajemnicze ale głębokie wrażenie, jakie na dziecięce umysły wywiera obecność kapłana, wspólna modlitwa w kościele, codzienne słuchanie Mszy świętej i dobry przykład, dawany przez starszych uczniów i uczennice,

a zrozumiemy, że to wszystko musi dodatnio wpłynąć na dziatwę.

Powoli, stopniowo mali Hindusi stają się pobożni, skromni, cierpliwi i łagodni. Nigdy niemal wrażenia odniesione ze szkoły missyjnej, nie zacierają się całkowicie, a chociaż niekiedy na czas pewien osłabną, później jednak z tem większą występują siłą.

Szkoła mieści się w trzech obszernych pokojach z wyborną wentylacją. W jednym pokoju uczą się starsi chłopcy, w drugim dziewczęta, a trzeci najmłodsza zajmuje dziatwa. Starsi chłopcy mają zeszyty sprowadzane z Kalkuty, młodszy kreślą niekształtne litery na liściach palmowych, dziewczęta zaś szyją.

Codziennie całe to grono czyta, pisze, rachuje, nie szczędząc wcale głosu i starając się przekrzyczeć swego sąsiada. Najstarsi tylko uczniowie dali się już o tyle nałamać do europejskiego naukowego systemu, że umieją zachowywać się podczas lekcji cicho i spokojnie, wówczas jedynie zabierając głos, skoro zostaną zapytani.

W samo południe każdy chłopak otrzymuje trochę oliwy i natarłszy nią sobie głowę, kąpie się w pobliskim stawie. Kąpiel taka bez względu na porę roku codziennie się odbywa. Następnie na chodniku wiodącym do szkoły, zasiada cała dziatwa parami do obiadu, składającego się przeważnie z ryżu i rozmaitych jarzyn, do których niekiedy dodajemy kawał ryby.

W przeciągu kwadransu w licznym tem gronku zupełna panuje cisza, każdy bowiem pochylony nad miedzianą miseczką, zajęty jest wyłącznie spożywaniem posiłku, do którego zamiast łyżek służą małe patyczki. Wieczorem rozdajemy jadło tylko dzieciom przybyłym z bardzo odległych wiosek i zmuszonym nocować w szkole, inne zaś dzieci odprowadzamy do domów. Wyjątek w tej mierze zachodzi tylko wówczas, gdy z powodu nieurodzaju lub powodzi zapanuje głód w całej okolicy, w takim bowiem razie dajemy codziennie wszystkim naszym uczniom nie tylko obiad, ale i wieczerzę.

Chociaż sąsiedni protestanci zyskują sobie wielu adeptów za pomocą rozdawania odzieży, my jednak tym środkiem nie posługujemy się wcale. Nie mamy również w szkółce missyjnej żadnego płatnego służącego, dzieci bowiem kolejno sami sobie służą. Zresztą ubóstwo zmusza nas do odmawiania sobie wielu najniezbędniejszych rzeczy. Jedynie też wspaniałomyślności ukochanego naszego Pasterza zawdzięczamy to, że szkoła przez większą część roku może być otwarta, gdybyśmy bowiem nie mogli dostarczyć dziatwie obiadu, to czyż podobna byłoby odprawiać w południe, wśród najdokuczliwszego skwaru biedne watały te istotki do domów, odległych o parę mil drogi? Jeżeli zaś mają otrzymywać w szkole obiad, a nawet wieczerzę, to musimy sprowadzać dla nich sporą ilość ryżu, który tu w po-

blizu Kalkuty jest o trzy razy droższy, niż w Czota-Nagpore.

Podczas krótkich rekreacji, dzieci trudnią się przeważnie rybołówstwem, stanowiącym główne zajęcie ich ojców, albo pracują w ogrodzie. Sprzeczeki nawet, jakie się niekiedy pomiędzy nimi wywiązują, bywają również zużytkowane dla moralnego ich dobra.

W razie jakiegoś ważnego nieporozumienia, obie strony wraz ze swymi świadkami stoją poważnie przed Ojcem, pełniącym trudną, chociaż zaszczytną rolę sędziego. Naturalnie misyjonarz stara się zwykle pojednać zwaśnionych, kładąc im często na znak zgody i braterstwa przetańczyć razem jakiś narodowy taniec.

Ostatnim charakterystycznym rysem tej chrześcijańskiej szkoły na ziemi pogańskiej, jest nabożeństwo do Najśw. S. Pana Jezusa, które dla bengalskich dzieci niewysłowny posiada urok. Nabożeństwo to odbywa się we wszystkie święta i uroczystości, oraz w pierwszy piątek każdego miesiąca, obietnice zaś, jakie Najśw. S. Serce dało wiernym swym czcicielom, i tutaj się sprawdzają.

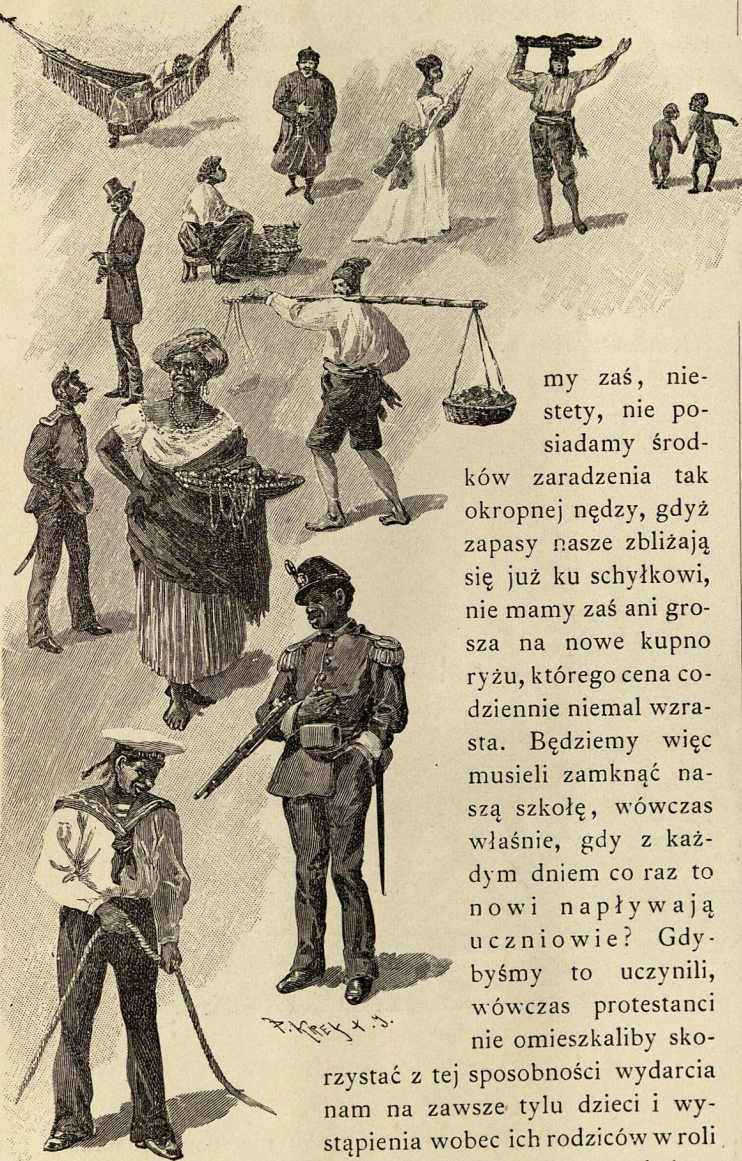
Jeżeli biedna ludność bengalska była dotychczas pod wpływem poganizmu zupełnie nieczułą na wszystko co tchnie cnotą i miłością Boga, to dziś piękne przymioty katolickich dzieci sprawiają pociechę Najśw. S. Jezusa i Aniołom niebieskim, a zarazem pokrzepiają nadzieją lepszej przyszłości biednych tutejszych kapłanów, uginających się pod brzemieniem trosk i pracy.

Dodajmy nadto, że już św. Franciszek Ksawery uważał chrześcijańskie wychowanie dzieci za główną rękojmnię nawrócenia całych Indyj, dlatego też wszędzie zakładał szkoły, zebrząc dla nich o wsparcie. Od samego nawet początku swego apostołstwa w Goi, wielki ten Święty przekonał się, że dzieci indyjskie wychowane w zasadach chrześcijańskiej wiary, wielce mogą się przyczynić do nawrócenia pogan. Jeżeli więc dzieci tak wielkie niegdyś św. Franciszkowi Ksaweremu oddawały usługi, to i dziś również zaszczytną obok naszych misyjonarzy mogą odegrać rolę. Do wykształcenia takiej właśnie młodzieży dążą wszystkie nasze szkoły, których dawni wychowawcy są obecnie najlepszymi chrześcijanami w całym Sonderbonds.

Łatwo więc zrozumieć, jak bolesną dla każdego misyjonarza jest myśl, że wkrótce może będzie zmuszony zamknąć swoją szkołę. Niestety, w danej chwili fundusze nasze w tak opłakanym znajdują się stanie, że niebawem istotnie będziemy musieli to uczynić.

W ostatnich czasach budowa nowej szkoły wyczerpała większą część naszych zasobów, a chociaż zdołaliśmy jeszcze nabyć sporą ilość ryżu, ale ilość dziatwy szkolnej prawie się podwoiła tak, że cały ten zapas nie na długo nam wystarczy. Nadto w przeciągu ostatnich dwóch dni missya nasza obłożona była ciągle przez zgłodniałych krajowców, którzy błagają ze łzami o odro-

binę strawy. Niektórzy z nich od dni kilku nie mieli nic w ustach, inni próbują piaskiem zaspokoić głód,



Typy z Rio de Janeiro.

my zaś, niestety, nie posiadamy środków zaradzenia tak okropnej nędzy, gdyż zapasy nasze zbliżają się już ku schyłkowi, nie mamy zaś ani grosza na nowe kupno ryżu, którego cena codziennie niemal wzrasta. Będziemy więc musieli zamknąć naszą szkołę, wówczas właśnie, gdy z każdym dniem co raz to nowi napływają uczniowie? Gdybyśmy to uczynili, wówczas protestanci nie omieszkaliby sko-

rzystać z tej sposobności wydarcia nam na zawsze tylu dzieci i wystąpienia wobec ich rodziców w roli prawdziwych zbawców, którzy nieszczęśliwe te istotki ocalili od śmierci głodowej.

Miejmy jednak nadzieję, że dobroczyńcy nasi na to nie pozwolą, i że ci, którzy nam pomogli wybudować szkołę, zechcą się również przyczynić do utrzymania jej nadal. Jeżeli biedni nasi chrześcijanie, znajdujący się w gorszym może położeniu od biblijnego Łazarza, umrą z głodu, to będzie okropnem nieprawdą? Stokroć atoli będzie okropniejsze, jeżeli doprowadzeni do rozpaczki głodem, który zwykle złym jest doradcą, przechylą się na stronę protestantów i dadzą się nakłonić do apostazji. Jeżeli w czasach normalnych i w zwykłych okolicznościach mamy prawo wymagać od nich bezinteresowności i poświęcenia, to natomiast podczas ogólnej klęski misyjonarze powinni dawać im

dowody wspaniałomyślności i prawdziwego współczucia. W chwili przyjęcia katolicyzmu, biedni nasi neofici wyrzekli się swej kasty, rodziny i przyjaciół, słowem wszelkiej nadziei jakiegokolwiek wsparcia ze strony pogan. Skoro więc ci ostatni przekonają się, że przyjęcie katolickiej wiary ściągnęło na nich tylko nędzę i niedostatek, to czyż sami zechcą wówczas przechylić się na stronę prawdziwego Chrystusowego Kościoła?

Przed dwoma lub trzema laty czytelnicy nasi dowiadywali się niejednokrotnie z *Missyj katolickich* o cudownych niemal wynikach działalności misyjonarzy w południowych zakątkach Indyj. Pocieszające te wyniki zawdzięczał nasi kapłani sowitym jałmużnom, otrzymywanym z Europy wówczas, gdy w tej części Indyj panował okropny głód, rozdawanie bowiem tych zasiłków pomiędzy zgłodniałych pogan, pozyskało ich wielu dla świętej naszej wiary. Taką samą sposobność ocalenia ich od śmierci głodowej, a zarazem od więzów poganizmu, nastęrcza się dzisiaj w Sonderbonds, gdzie zatwardziali poganie, pod wpływem dokuczliwego głodu przechylają się skwapliwie na stronę tego, kto im pospieszy z pomocą.

Dzisiaj więc nie wielka stosunkowo jałmużna zdolaby wprowadzić te zbłąkane owce do owczarni Dobrego Pasterza i przyczyniłaby się do wzrostu naszych gmin katolickich, jak również do rozwinięcia ewangelizacyjnej działalności na szerszą niż dotychczas skalę. Nie kapłanów nam braknie do nawracania Bengalów, ale jedynie środków materyalnych, będących jakby widzialną formą, w której religia powinna się objawić Hindusowi, ażeby zostać przez niego przyjętą. W danej zaś chwili nie chodzi nam o powiększenie, ale tylko o utrzymanie w Sonderbonds tego zakresu działalności, któremu od lat 20 tylu dzielnych misyjonarzy poświęca siły swe i trudy.

Missya Dominikańska w Brazylii.

(Ciąg dalszy).

III.

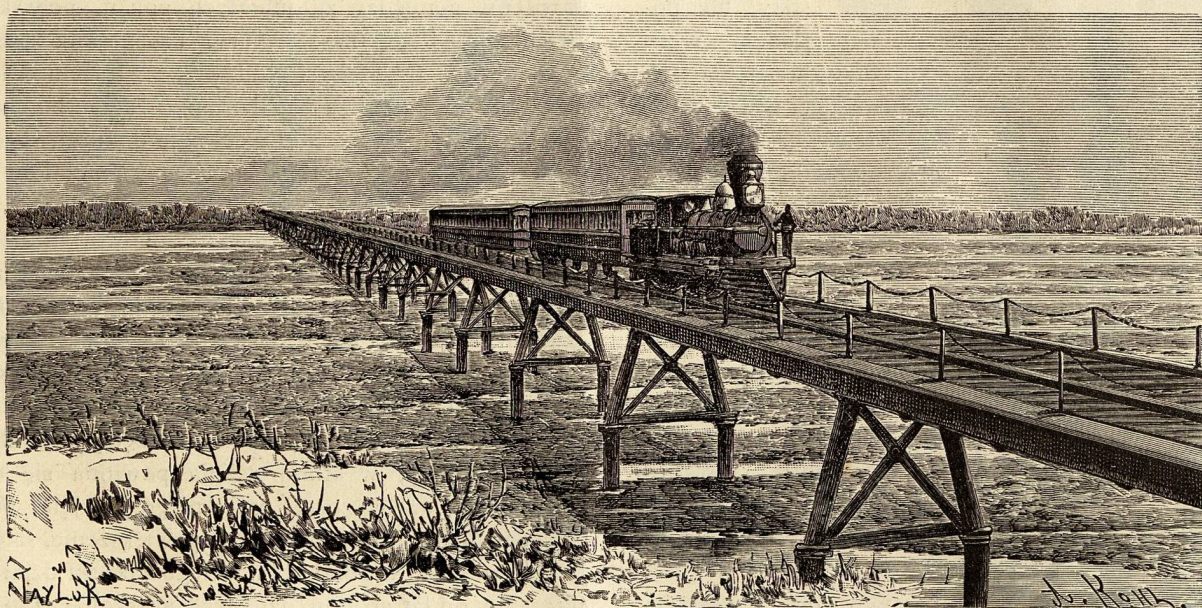
Miasto Uberaba i jej mieszkańcy. — Klasztor św. Dominika. — Działalność misyjonarzy i zakonnic.

Miasto Uberaba, wybrane na pierwsze ognisko misyjne dla Dominikanów w tym kraju, należy do miast stosunkowo najnowszych w obrębie brazylijskiego terytorium. Jeszcze na początku bieżącego stulecia, miejsce, na którym się wznosi, było samotną pustynią. Dziś dzięki kolei żelaznej, Uberaba stała się nader ważnem ogniskiem handlu i chociaż ludność dochodzi zaledwie do 7000 osób, przyszłość jednak tej miejsciny w nader

jasnych przedstawia się barwach. Mieszkańcy zowią rodzinne swe miasto *Reina de Sertao*, czyli Królową pustyni, której sztuka nie ozdobiła jeszcze żadnymi zabawkami, jedyny zaś urok nadaje przyroda. Aż do ostatnich niemal czasów, domy dość ponętnie przedstawiające się zdaleka, były po prostu parterowemi, glinianymi lepiankami bez podłóg i sufitów. Dziś jednak tu i owdzie pomiędzy ubogimi temi domkami, widać już piękniejsze i trwalsze domy z cegieł, mające nawet jedno lub dwa piętra. Całe miasto składa się z kilku długich i szerokich, ale niestety niebrukowanych ulic, tak, że podczas deszczu, stają się one niezmiernie trudnymi do przebycia, kryjąc pod gładką powierzchnią wody lub błota, nader niebezpieczne zasadzki. Zresztą

Uberaba różni się już znacznie od nadmorskich miast brazylijskich, na różnicę zaś tę wpływa przeważnie bliskie sąsiedztwo stepów.

Obok murzynów napotykanym tak często na wybrzeżu, lub szpetnych starych murzynek, sprzedających na rogach ulic rozmaite owoce i ciasta z mąki maniokowej, coraz częściej można tu dostrzedz typy zupełnie odrębne. Na ulicach snuje się mnóstwo jeźdźców przybyłych zdaleka, prawdopodobnie z nad rzek Uruguaju lub Parany, ubranych w długie brunatne *ponczo* (*poncho*) czyli płaszcze i ogromne kapelusze. Ciemno-brunatny kolor ich skóry, każe się domyślać bliskiego pokrewieństwa z koczowniczymi indyjskimi plemionami, celem zaś przybycia do miasta bywa zwykle sprzedaż



Brazylia. — Most nad *rio Segundo*.

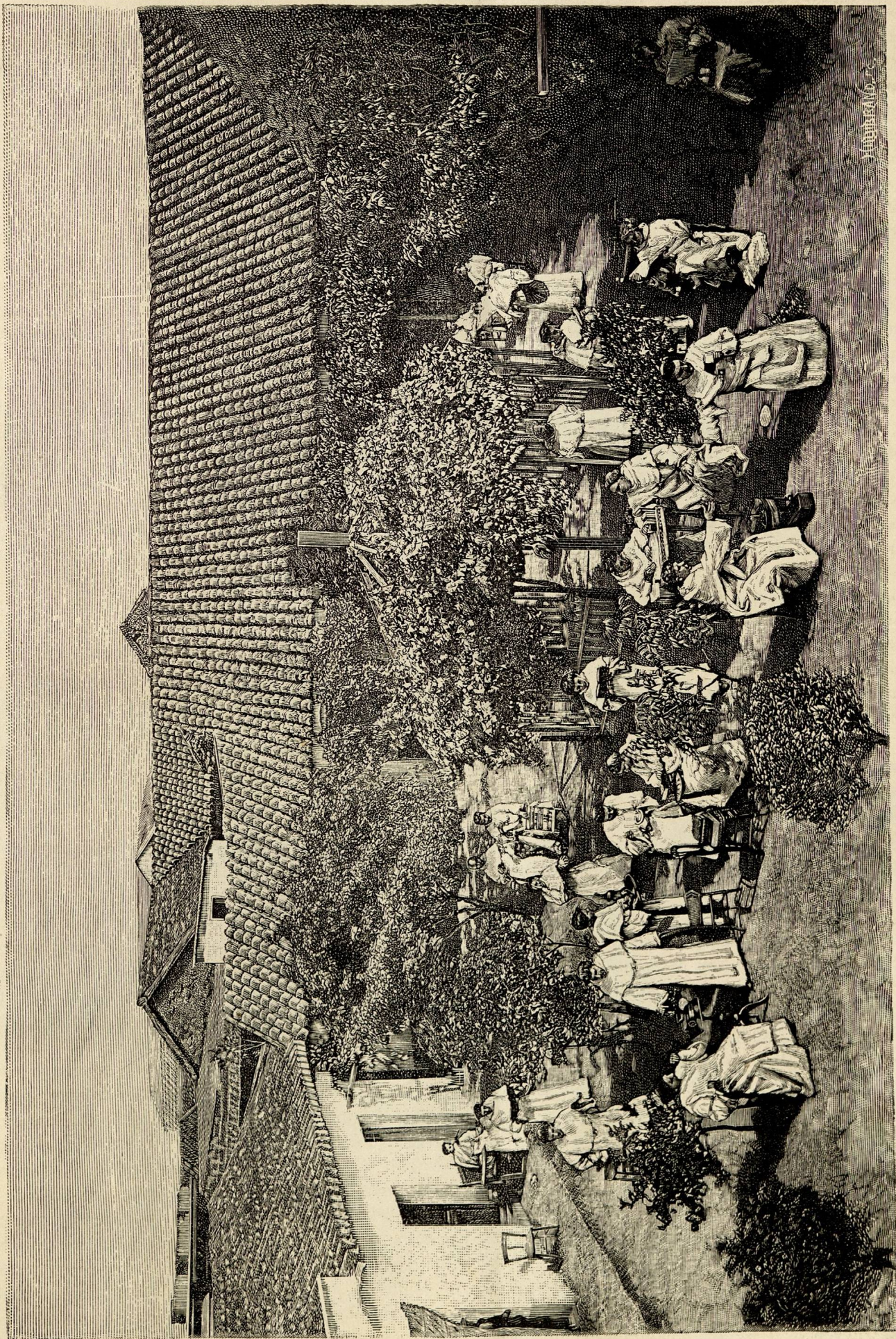
mate czyli paragwajskiej herbaty, lub dostarczanie miejscowym rzeźniom, zwanym *szarkweadas* (*xarqueadas*), znacznej ilości wołów, przypędzanych ze stepów. Tu i owdzie widać również *arby* czyli ogromne wozy na dwóch kołach, ciągnięte przez trzy lub cztery pary wołów i wyglądające jak przenośne domy.

Ponieważ Uberaba jest przede wszystkim miastem handlowym, dlatego też mieszkańcy jej odznaczają się przymiotami, wadami i charakterystycznymi cechami, właściwymi kupcom. W malutkiej tej miejscinie nie brakuje zresztą ani pozytywistów, ani nawet masonów, łoża bowiem wolno-mularska stanowi niezbędne akcesoryum każdego prowincjonalnego brazylijskiego miasteczka. Ona to podług mniemania Brazylijczyków świadczy najwymowniej o istnieniu oświaty i cywilizacji bez względu na to, że prawie zawsze stoi pustkami, ponie-

waż ogół tamtejszego społeczeństwa nie rozumie wcale po co się do niej chodzi. Nawiedzają więc ją tylko ludzie niewykształceni.

Zresztą ilość prawdziwie wykształconych osób jest w Brazylii bardzo jeszcze mała, co nie przeszkadza wcale, że się tam mówi na każdym kroku nietylko o postępie, nauce i cywilizacji, ale także o bezwyznaniowości, każdy bowiem, kto chce się popisać starannym wykształceniem, pozuje potrosze na ateusza. Nie dziw też, że w Uberabie największą popularność zdobyły sobie dwa tygodniki, wypowiadające w każdym zeszytycie nieubłaganą wojnę religii, moralności i wszelkim zdrowym zasadom.

Wogóle charakterystyczną cechą mieszkańców tej miejsciny jest błaga i zamiłowanie szumnie brzmiących, chociaż w gruncie rzeczy nader próżnych frazesów. Nigdzie istotnie nie słychać tyle dytyrambów na cześć



Brazylia. — Klasztor OO. Dominikanów w Kordowie; podług fotografii.

oświaty, cywilizacji, postępu i wolności, jak na brazylijskim terytorium, gdzie kwitnie jeszcze niewolnictwo, chociaż urzędownie zniesione i pod płaszczem rzeczypospolitej nieubłagany panuje despotyzm.

Również niekorzystnie, jak mężczyźni, przedstawiają się na pierwszy rzut oka brazylijskie kobiety ze średnich i wyższych warstw społeczeństwa. Wprawdzie rodzice i mężowie ubierają je starannie, jak lalki, ale w rodzinach odgrywają one rolę niezbyt godną zażyłości.

W dzisiejszem brazylijskiem społeczeństwie kobieta nie jest nawet gospodynią domu, gdyż wszystkie zajęcia domowe są udziałem sług, same zaś panie, dzięki ciągłemu próżniactwu, wyglądają zawsze znudzone, zniechęcone do ludzi i świata. Taki tryb życia wywiera wpływ ujemny na ich zdrowie, nigdzie bowiem suchoty nie są tak rozpowszechnione, jak wśród brazylijskich kobiet. Poziom ich wykształcenia jest również bardzo niski i polega niemal wyłącznie na znajomości francuskiego języka i grze na fortepianie. — Nieraz można widzieć brazylijskie panie, słuchające z najżywszem zajęciem czarodziejskich baśni, opowydanych przez murzynki.

Oto jak się przedstawia fizyognomia Uberaby i jej mieszkańców, oraz ramy, w których ma się mieścić obraz apostolskiej działalności misyjnarzy z zakonu św. Dominika.

Obecnie personal misyjny w Uberabie składa się z 9 zakonników, to jest 6 Ojców i 3 Braci, których tryb życia zastosowany jest zupełnie do reguły zakonnej. Dom służący im za schronienie, został zbudowany przez pewnego Kapucyna, O. Paulina, który otrzymał od swoich przełożonych rozkaz niezwłocznego powrotu, ustąpił go przed odjazdem miejscowemu biskupowi Gonзалvez'owi. Chociaż budynek ten wcale nie wygląda na klasztor, dzięki jednak rozmaitym zmianom, jakich w nim dokonano, stanowi przyzwoite dla zakonników schronienie. Cztery ubikacje parterowe służą za kuchnię, refektarz, kapitułę i salę wspólną, na piętrze mieści się spora biblioteka wraz z ośmiu obszernymi celami dla Ojców, na drugim zaś, niestety, zbyt niskim pięterku, parę pokoiów, służących za sypialnię dla zakonnych Braci. Po za klasztorem znajduje się jeszcze stajnia, piekarnia, tudzież niewielki budynek, zawierający pracownię szewską, stolarską i t. p. Całą rezydencję misyjną okala piękny ogród, otoczony wysokim murem.

Na gruncie tym, który aż do chwili przybycia misyjnarzy spoczywał odłogi, zieleni się obecnie prześliczna winnica, oraz rosną wyborne drzewa owocowe. Wreszcie dzięki nasionom przysłanym z Europy, misyjnarze uprawiają również w swoim ogródku rozmaite jarzyny, których zapas na cały rok im wystarcza. Z jarzyn właściwych w Brazylii, zasługuje na uwagę

szuszu (xuxu), t. j. niewielka roślina z rodziny dyniowatych, o młdych słodkawych owocach, tudzież rozmaite gatunki ziemniaków, manioku i tykwy o twardej skorupie, z której się wyrabiają kubki i miseczki. Najlepszą jednak jarzyną są młode, nierozwinięte jeszcze listki palmity, to jest nie wielkiej, ale bardzo ładniutkiej palmy, używane zamiast sałaty. Wreszcie integralną częścią brazylijskiej kuchni i wyłącznem niemal pożywieniem krajowców jest fasola czerwona, żółta, biała i czarna. Ta ostatnia bywa zwykle tak dalece czarną, że nawet woda, w której się gotuje, wygląda jak atrament, widok więc jej niezbyt jest ponętny, chociaż okrągłe, malutkie ziarenka, wybornym odznaczają się smakiem.

O kilka kroków od klasztornego ogrodu wznosi się kościół, zbudowany pod wezwaniem św. Ryty. Może on pomieścić od 200 do 300 osób. Świątynia ta posiada trzy ołtarze, oraz piękny chór, na którym w razie potrzeby może się również odprawiać nabożeństwo.

Pod posadzką tego chóru spoczywają zwłoki Ojca Damiana Signerin'a, wysłanego w r. 1878 przez prowincję tuluską do Brazylii w celu założenia tam pierwszego ogniska misyjnej działalności. Gorliwy ten zakonnik rozpoczął nawet negocjacje z X. biskupem Lacerdo w Rio-Janeiro, ale Opatrzność zrządziła inaczej, gdyż wszystkie jego zamiary spełzły na niczem. Postanowił więc wrócić do Europy, lecz w wigilię odjazdu dostał żółtej febry, która we trzy dni później wtrąciła go do grobu. Zwłoki jego pogrzebano pierwotnie na cmentarzu w Rio-Janeiro, w roku zaś 1885 przywieziono do Uberaby i umieszczono je wespół z chórem, to jest w miejscu, gdzie zakonnicy codziennie wspólne zasyłają modły.

W spełnianiu przez misyjnarzy obowiązków swego powołania, istnieją dwa okresy zupełnie od siebie odrębne, a mianowicie okres gorączkowej niemal działalności, po której względny następuje spokój. W pierwszym z tych okresów, trwającym corocznie przez 7 lub 8 miesięcy, kapłani odbywają misye w rozmaitych zakątkach dyecezyi. Apostolska ta praca rozpoczyna się przed Wielkanocą i trwa bez przerwy aż do listopada.

Pragnąc, aby ewangelizacja całej dyecezyi odbywała się w sposób prawidłowy i systematyczny, podzielono tę ostatnią na trzy odrębne części, tak, że każdy z trzech dominikańskich klasztorów jest jakby głównym punktem w swoim powiecie, niby ogniskiem, z którego działalność misyjnarzy na wszystkie rozkrzewia się strony. Nadto każdy powiat został podzielony na cztery obwody, w których misye kolejno mają się odbywać. Co cztery więc lata zwiedzają misyjnarze te same miejscowości, głosząc tam Słowo Boże i ugruntowując w umysłach mieszkańców zasady świętej naszej wiary. Tam, gdzie wierni nie mogą się uskarżać na brak reli-

gijnej pomocy, missye takie może byłyby za częste, a nawet zbyt częste; ale dla ludności, której duchowne posługi oddają sami tylko missyjonarze, nie mogący jej zresztą poświęcać dużo czasu, jest to raczej za mało, niż za wiele.

Powiat uberabski obejmuje całą część prowincji Minos-Geraes, wcieloną do gojaskiej diecezji. Jest on wprawdzie mniejszy od dwóch innych powiatów, ale daleko bardziej zaludniony, z tego więc powodu odprawianie tam missyj, wymaga wiele czasu i pracy. Miejscowości, w których religijne te ćwiczenia zwykły się odbywać, leżą o 100, 150 lub 200 kilometrów jedno od drugich, dlatego też missyjonarze muszą tam się udawać konno, lub na *trolu*. Trol jest to powóz prawdziwie brazylijski o czterech kołach, wyglądający jak skrzynia, w której się mieszczą dwie ławeczki dla podróżnych i woźnicy. Wszystko to jest nadzwyczaj proste i niewygodne, braknie nawet poręczy, aby się móżdż oprzeć. Prymitywny ten powóz, ciągniony zwykle przez jednego konia, stanowi jedyny środek komunikacyjny wśród lasów, gór lub moczarów, na których w Brazylii bynajmniej nie zbywa. Łatwo można sobie wyobrazić, jak nużąca jest podróż w takim powozie.

Wreszcie nader trudnem niekiedy zadaniem bywa wyszukanie człowieka, któryby zechciał służyć za przewodnika i czuwać nad bezpieczeństwem całej karawany.

Po załatwieniu tej kwestyi pierwszorzędnej wagi, trzech Ojców, wybrani na apostolską wycieczkę, wyruszają w drogę, pozostawiając w klasztorze trzech swoich współbraci, którzy podczas ich nieobecności muszą zaspokajać duchowne potrzeby mieszkańców Uberaby i najbliższych okolic.

Wogóle ludność brazylijska z wielką gorliwością bierze udział w missjach, ponosząc niekiedy w tym celu nader ciężkie ofiary. Niejednokrotnie całe rodziny, mężczyźni, kobiety i dzieci, opuszczają swe trzody i domowe ogniska, oraz przebywają kilkudziesięciowe przestrzenie, aby tylko nie zawieść oczekiwań missyjonarza i spełnić obowiązki wkładane przez religię. Zwykle ci ludzie obozują pod otwartym niebem, a raczej każdy wóz czyli *arba*, staje się prowizorycznem mieszkaniem dla wszystkich członków rodziny.

Stosownie do ilości osób, biorących w niej udział, missya trwa co najmniej od dwóch do trzech tygodni, w przeciągu zaś tego czasu nie mają missyjonarze ani chwili wytchnienia, nie tylko bowiem muszą nauczać, ale także spowiadać, a także udzielać wszelkich innych Sakramentów świętych, których nieszczęśliwi ci ludzie przez czas tak długi byli pozbawieni. Przede wszystkim muszą oni chrzcić nieochrzczone dotąd dzieci, jak również te, których Chrzest nie w należyty odbył się sposób, a nawet dopełniać dodatkowe ceremonie tego Sakramentu względem działy ochrzczonej z wody przez rodziców lub krewnych.

Z drugiej strony dzięki tradycji sięgającej jeszcze czasów św. Elżbiety portugalskiej¹⁾, poczciwi brazylijscy chrześcijanie mają wielkie nabożeństwo do Ducha św. i każdy z nich pragnie otrzymać Sakrament Bierzmowania. Dla tego też na podstawie szczególnego przywileju, nadanego im przez Papieża, missyjonarze dominikańscy podczas każdej swej missyi bierzmują pewną ilość wiernych. Wszystko to kapłan nie mało kosztuje pracy, tem bardziej, że oprócz dwóch długich kazań, wygłaszanych codziennie rano i wieczorem, powinien on jeszcze uczyć dzieci katechizmu, przewodniczyć procesjom i innym ceremoniom religijnym, urządzanym w celu ożywiania pobożności w sercach ludu, a wreszcie nieraz do późnej nocy słuchać spowiedzi. Im bardziej missya zbliża się do końca, tem więcej trudów i kłopotów spada na barki gorliwego kapłana.

W pierwszych dniach missyi uczestniczy w niej nie wielu stosunkowo wiernych, stopniowo jednak coraz liczniejsze napływają tłumy, a w miarę zaś tego wzrasta nawał pracy dla missyjonarzy. Atoli łaska Boża wspiera ich niezachwianie w trudach, najpiękniejszą zaś za nie nagrodą jest pociecha, jaką poczciwi chrześcijanie sprawiają swym duszpasterzom. Należy bowiem przyznać, że łagodni, pokorni i pobożni ci ludzie słuchają z szacunkiem słów missyjonarza, spełniając chętnie wszystko, czego od nich zażąda. Niestety, brak im wytrwałości i stałości charakteru, skutkiem tego zaś, wrażenie wywarłe przez missję często nader szybko zaciera się w ich umysłach, tak, że wkrótce po odejściu missyjonarza, wracają oni znowu do dawnego, nagannego trybu życia. W każdym razie wszystkie niemal missye mniej lub więcej pomyślne przynoszą wyniki.

Aby dać o nich przybliżone pojęcie, wystarczy, gdy powiemy, że w ciągu każdej misyjnej wyprawy, Ojcowie z Uberaby muszą wysłuchać przeciętnie od 15 do 20 tysięcy spowiedzi, tudzież ochrzcić kilka tysięcy dzieci i pobłogosławić sporą ilość związków małżeńskich. Zresztą liczba Chrzestów i małżeństw zależy w znacznej części od tego, czy dana okolica posiada własnego proboszcza, czy też powierzona jest wyłącznie duchownej pieczy missyjonarzy. Naturalnie cyfry powyżej przez nas przytoczone, nie obejmują jeszcze wyników działalności missyjonarzy z Gojazu i Porto-Nacional, którzy z powodu mniejszej ilości wiernych, mniej stosunkowo, niż ich bracia z Uberaby, mają do czynienia, chociaż z taką samą, jak oni gorliwością, wywiązują się z włożonego na siebie zadania.

¹⁾ Tradycja ta głosi, że św. Elżbieta rozpoczynając budowę jakiegoś kościoła, zamiast przyjmować od męża pieniądze na opłatę robotników, płaciła im różami, które natychmiast zamieniały się w złoto. Cud ten przypisywano ogólnie łasce Ducha św., do którego świątobliwa królowa apostolska zawsze gorąco się modliła. Z tego więc powodu nabożeństwo do Ducha św. rozpowszechniło się niebawem w całej Portugalii, z tamąd zaś przeszło do Brazylii.

Po ukończeniu missyi w jednej miejscowości, Ojcowie żegnają swych wiernych i jadą do innych zakątków dyecezyi, aby tęsamą rozpocząć tam pracę. W taki sposób odbywa się apostolska ich wycieczka do marca lub kwietnia, aż do pory deszczowej, to jest do listopada. Wówczas właśnie zaczynają się zwykle gwałtowne ulewę, podczas których niepodobna skazywać biedną ludność na podróż do miejscowości wyznaczonych na missye i kilkatygodniowy pobyt pod otwartym niebem. Dlatego też Ojcowie wracają do Uberaby, gdzie aż do Wielkiejnocy cieszą się względny spokojem. Cały zakres działalności polega wtedy na wykonywaniu obowiązków swego powołania względem mieszkańców tej miejsciny.

Oto główne zatrudnienia, zapełniające życie uberabskich missyonarzy. Dzięki rozsądkowi, przezorności i delikatności, jakiej zawsze i wszędzie składają oni dowody, nietylko pobożne warstwy ludności, ale nawet niedowiarkowie i bezwyznaniowcy otaczają ich czcią i szacunkiem. Unikając starannie wszelkich zatargów z jakimikolwiek stronnictwami, zacni kapłani nie zostali nigdy wciągnięci do żadnych walk partyjnych, które w Uberabie, jak i wszędzie zresztą, niepokoją umysły. Dlatego też mogą oni swobodnie pracować ku większej chwale Bożej nad zbawieniem dusz powierzonych ich pieczy; w pracy zaś tej dopomagają im dzielnie pocziwe zakonnice, którym teraz krótką poświęcimy wzmiankę.

Po umieszczeniu kilku missyonarzy w klasztorze św. Dominika w Uberabie, X. biskup Gonzalvez zapragnął uwieńczyć dzieło moralnego odrodzenia swych wiernych, zakładając w tem mieście dwa dobroczynne zakłady, to jest szkołę dla dziewcząt i szpital. Kierunek obu tych zakładów zamierzał czcigodny prałat powierzyć Siostrze Dominikankom III Zakonu z Kongregacyi w Bor-et-Bar (dyecezya rodezka) i w tym celu porozumiał się niezwłocznie nietylko z przełożonymi powyższej kongregacyi, ale także z biskupem, którego władzy ulegają.

Niebawem przeto postanowiono wysłać ztamtąd do Uberaby pewną ilość Sióstr, które miały zająć się przedewszystkiem urządzeniem i otwarciem szkoły dla dziewcząt, gdyż ta ostatnia mniejsze daleko, niż szpital, pociągnęłaby koszt.

Należy wiedzieć, że w Uberabie istnieje już od dawna kilka obszernych budynków, oznaczonych ogólną nazwą Domu Miłosierdzia. Zostały one wzniesione przez pewnego gorliwego Kapucyna, O. Eugeniusza, który zamierzał urządzić w nich szpital. Niestety, zamiary czcigodnego założyciela nie rychło miały się urzeczywistnić, gdyż po wybudowaniu zakładu zabrakło funduszy na zaopatrzenie go w najniezbędniejsze sprzęty, z drugiej zaś strony niepodobna było zrekrutować choćby kilku osób, któreby się podjęły pielęgnowania chorych.

Nie dziw też, że Dom Miłosierdzia stojąc przez długi czas pustkami, zaczął powoli chylić się ku upadkowi. Wówczas właśnie X. biskup Gonzalvez przybył do Uberaby, w celu wyszukania odpowiedniego lokalu dla zakonnicy. Malownicze położenie Domu Miłosierdzia, imponująca jego powierzchowność, a wreszcie dość znaczna ilość obszernych sal, zwróciły natychmiast na siebie uwagę czcigodnego pasterza, który postanowił zmienić pierwotne przeznaczenie tego gmachu i urządzić w nim szkołę dla dziewcząt. W tym celu X. biskup Gonzalvez porozumiał się niezwłocznie z komisją czuwającą nad Domem Miłosierdzia i zobowiązał się dokonać własnym kosztem niezbędnych operacji, później zaś nieco zbudować szpital.

Pod tym jedynie warunkiem oddano mu w posiadanie powyższy budynek, w którym od r. 1882 zamieszkały Siostry. Niestety, X. biskup Gonzalvez, zajęty innemi, również doniosłemi sprawami, zwlekał z dotrzymaniem swej obietnicy, gdy zaś w r. 1889 został mianowany biskupem Porto-Allegre w prowincyi Rio-Grande-do-Sul, wówczas opuścił dyecezyę gojańską wprzód, niż zdołał obdarzyć Uberabę przyrzeczoną jej niegdyś szpitalem. Później oddzielenie Kościoła od państwa, uchwalone natychmiast po ogłoszeniu rzeczypospolitej, zatamowało źródło dochodów duchowieństwa tak, że następca X. biskupa Gonzalveza z powodu szczupłości swego budżetu, nie może nawet myśleć o tak kosztownem przedsięwzięciu, jakim jest założenie szpitala. Bądź co bądź, pewna część mieszkańców Uberaby niechętnem okiem patrzy na to, że Dom Miłosierdzia został użyty nieodpowiednio do pierwotnego swego przeznaczenia.

Niejednokrotnie też ludzie, źle względem zakonnic usposobieni, stawali niby w obronie ubogich i chorych, starając się za pomocą zjadliwych artykułów, umieszczanych w rozmaitych dziennikach, zmusić biedne Siostry do wyrzeczenia się tego schronienia i przesiedlenia gdzieindziej. Skutkiem tych napaści systematycznie powtarzanych, zakonnice w nader przykrem znalazły się położeniu. Zdaje się więc, że jedynym środkiem, zdolnym postawić tamę wszelkim nieszlachetnym insynuacyom i intrygom ze strony prześladowców, byłoby kupno kawałka gruntu, na którym Siostry zbudowałyby dom i którego niezaprzeczonemi stałyby się właścicielkami.

Taki sposób rozstrzygnięcia drażliwej tej kwestyi nie przechodzi wcale granic możliwości, nie da się zaś zaprzeczyć, że zapewniłby on zakonnicom zupełną niezależność materyalną i swobodę dalszego działania.

Rozpoczęto już nawet negocjacje w tej mierze, tak, że możemy się spodziewać, iż z pomocą Bożą zdołają wkrótce Siostry w Uberabie schronienie, w którym będą się czuły zupełnie jak u siebie. I teraz jednak pomimo wielu nieprzyjanych okoliczności, wiodą one

życie bardzo pożyteczne, wywiązuje się sumiennie ze swego zadania.

W danej chwili personal ich składa się z dziesięciu zakonnic, z których sześć trudni się wyłącznie nauką dziewcząt. Do szkoły przez nie utrzymywanej uczęszcza przeszło 150 dzieci, z których około 50 mieszka stale w zakładzie. Stosownie do swego wieku i stopnia wykształcenia, uczennice dzielą się na dwa oddziały zostające pod wyłącznym kierunkiem Sióstr i otrzymują

wychowanie, zastosowane do potrzeb tej warstwy społeczeństwa, w której całe życie musi im upłynąć. Zresztą program nauk nic nie pozostawia do życzenia, oprócz zaś obowiązkowych przedmiotów, uczennice, jeżeli tego zapragną, mogą jeszcze stosownie do swego życzenia uczyć się w tym zakładzie rysunku, muzyki i haftu.

Dodatkowa ta nauka wielką w oczach Brazylijczyków posiada wartość, tak, że nawet mniej zamożni



Podróż dylizansem po stepach brazylijskich; podług szkicu misjonarza.

rodzice, powierzający swe córki zakonnicom, proszą o kształcenie ich w tym kierunku.

Gdy trudności, o jakich wyżej nadmieniałem, zostaną powoli usunięte, wówczas powyższy zakład naukowy otwarty zarówno dla bogatych jak i dla ubogich, będzie mógł na daleko szerszą rozwinąć się skalę. Zresztą wiele innych jeszcze prac czeka Siostry w Uberabie, oby tylko Opatrzność raczyła im udzielić sił i środków ku temu!

W mieście tem i całej okolicy jest mnóstwo biednych dzieci, osieroconych lub zaniedbanych przez rodziców i skazanych niemal od kolebki na pastwę nędzy, lub występku. Prawdziwem przeto dla nich dobrodziej-

stwem byłoby otwarcie przytuliska, w którym znalazłyby one nie tylko schronienie, odzież i żywność, ale zarazem odebrałyby prawdziwie chrześcijańskie wychowanie i nauczyłyby się uczciwie zarabiać na życie.

Takież same prawo do pomocy i opieki zakonnic mają nieszczęśliwi chorzy, tak, że należałoby przyklasnąć gorąco założeniu szpitala, gdyby ci, którym tak piękne i ważne przedsięwzięcie powierzonom zostanie, potrafili w zadawalniający zorganizować je sposób.

(C. d. n.).

Z życia rodzinnego Japończyków.

(Ciąg dalszy).



Mniej więcej w szesnastym roku Japonka kończy edukację i przygotowuje się odtąd do nowych obowiązków, jakie ją w życiu czekają. Wychowanie otrzymane w szkole i domu, wyrobiło ją na istotę łagodną, niewinną, uroczą, posłuszną i cierpliwą, a zarazem nauczyło dokładnie, jak się ma zachować w każdej okoliczności.

Wprawdzie najwznioślejsza strona ducha pozostała odłogiem, szczytne bowiem religijne zasady nie odkryły przed jej sercem widnokręgów daleko szerszych od ziemskiego codziennego życia, ale w każdym razie jest ona miła, czynna, pracowita, sympatyczna, a zarazem uzdolniona do spełniania obowiązków żony, matki, gospodyni domu, do których tak starannie ją przygotowano.

Dziecięca jej niewinność i naiwność nie doznała również najmniejszego szwanku skutkiem zetknięcia się ze światem, pochlebstw wielbicieli i salonowych tryumfów, kończących się nie zawsze szczęśliwie. Jeżeli bowiem nawet dziewczę zna kilku młodych ludzi i w domu rodzicielskim pod opieką starszej osoby wesoło z nimi się bawi, to żadna myśl romantyczna najmniejszej nie gra w tem roli.

Kiedy nadejdzie pora zamążpójścia, wówczas ojciec przedstawi jej jakiegokolwiek przez siebie wybranego młodzieńca, wystarcza zaś najlżejszy cień sympatii ze strony dwojga młodych, aby matrymonialne zamiary natychmiast doszły do skutku. Aż do tej chwili cnotliwa dziewczyna zapatruje się na mężczyzn, jako na istoty wyższe, stworzone w tym jedynie celu, aby kobiety im usługiwały, uprzedzając wszelkie ich życzenia. Nigdy też młoda Japonka nie zapomni o tem, że należy do towarzystwa, w którym komplement wypowiedziany mężatce lub pannie, za najokropniejszą uchodzi zniewagę. Wie ona dobrze, że ognisko domowe, to świątynia, której zasłona nigdy przed obcem nie rozsuwa się okiem i zastosowuje też do tego całe swe postępowanie.

Ceremonia ślubna nie nosi na sobie żadnych cech prawnych ani religijnych i odbywa się zwykle w domu narzeczonego, do którego przybywa narieczona z całą swą wyprawą i mnóstwem darów, jakie jej rodzice przesyłają rodzicom pana młodego. Świadkami ślubnego obrzędu są tylko swatowie i młoda dziewczynka, podająca nowożeńcom kubek z jakimś napojem, z którego piją kolejno, jakby na dowód, że chcą odtąd dzielić razem wszelkie życiowe radości i cierpienia. Symbol ten zresztą jest nader zwodniczy, ponieważ los męża bywa zwykle daleko bardziej godny zazdrości, niżeli dola jego żony. Ta ostatnia, wydana bardzo wcześnie

za męża, nie ma własnego domowego ogniska i dopóki żyją rodzice jej męża, zajmuje stanowisko nader podrzędne, niby córki przybranej, obowiązanej do bezwarunkowego i chętnego posłuszeństwa.

Zresztą związek małżeński bardzo łatwo daje się rozwiązać i rozwody w niższych zwłaszcza klasach są na porządku dziennym. Co do klas wyższych, to jedynie obawa skandalu powstrzymuje je od tego kroku. Aż do r. 1871 tylko mężowie mieli prawo domagać się rozwodu, wówczas zaś upoważniono do tego i żony, ale zarazem wydano ustawę, na mocy której wszystkie dzieci muszą należeć do ojca. Nie jedna więc matka woli raczej wszystko wycierpieć, niż wyrzec się swych dzieci, bo chociaż Japonki nie pieszczą ich tak bardzo jak Europejki, ale z pewnością również gorąco kochają. Zresztą żadna niemal japońska kobieta z wyższych sfer towarzyskich nie zdołałaby nigdy zapracować sama na życie.

Dotychczas jedynym źródłem ich zarobku były lekcje muzyki, układania kwiatów, szycia i przepisów etykiety, a chociaż obecnie dzięki najnowszej reformie w wychowaniu, coraz więcej kobiet zaczyna trudnić się nauczycielstwem w naszym pojęciu, dużo jednak czasu upłynie wprzód, niż zdołają one na tem polu poważnie otrzymać wyniki.

Obecnie społeczeństwo japońskie na dwa przeciwne podzieliło się obozy. Konserwatyści pragną widzieć kobiety na dawnym, podrzędnym i upokarzającym stanowisku, nowatorowie zaś, z których kilku przypatrzyło się nieco bliżej stosunkom na zachodzie, żądają, aby żona stała się dla nich przyjaciółką i towarzyszką, zupełnie im równą pod każdym niemal względem.

Co do dziewczynki, która otrzymałaby nowożytnie wychowanie, zostaje zmuszona za powrotem do domu ulegać przesądom swych starszych, zerwać wszystkie stosunki z przyjaciółkami lat młodzieńczych, później zaś wychowywać dzieci wbrew własnym przekonaniom i stosować się ślepo do woli męża, to rzecz możliwą, iż bardziej jeszcze niż dawniej jest ona godną politowania i współczucia.

Nic bardziej nas nie razi w społeczeństwie japońskim, jak to moralne znęcanie się płci silniejszej nad słabszą, t. j. męża nad żoną, której obowiązkiem jest służyć mu jak niewolnica, posłuszną na każde skinienie. Młoda małżonka wstaje najwcześniej i najpóźniej udaje się na spoczynek, przez cały zaś dzień musi myśleć o wszystkich i być zawsze gotowa na przyjęcie gości, odwiedzających męża lub jego rodziców. Jest więc ona poprostu pokojówką swego małżonka, a zarazem szwaczką i kucharką dla całego domu.

Po śniadaniu przyrządzonem pod jej kierunkiem, mąż wychodzi, lub wyjeżdża do miasta, żona zaś musi czuwać nad tem, aby mu podano obuwie, parasol i wszystko zresztą, co zechce zabrać ze sobą, jak rów-

nież, aby *kuruma*, czyli palankin, do którego wsiądzie, przede drzwiami nań oczekiwał. Wreszcie w chwili odjazdu młoda małżonka ze wszystkimi dziećmi i domownikami wychodzi do przedsionka i zegna męża najniższym ukłonem, oraz najbardziej uprzejmym uśmiechem. Taką samą ceremonią powtarza się po powrocie pana domu. Ponieważ zaś Japończycy daleko więcej, niż my, miewają służących, cały więc ten orszak dość imponująco się przedstawia, niskie zaś ukłony i okolicznościowe komplementy, towarzyszące takiej scenie, uderzają na pierwszy rzut oka każdego cudzoziemca swoją dystynkcyą i powagą. Takież same honory otrzymuje pani domu, bo chociaż pracuje ona razem ze swemi służącymi, te ostatnie jednak głęboki okazują jej szacunek.

Za czasów feudalnego systemu wszyscy służący do zgonu służyli swym panom, każdy zaś z nich od najprostszego pachotka do marszałka dworu książęcego nieposzlakowaną odznaczał się wiernością. Zwykle też pan nie potrzebował żadnych wydawać rozkazów, ci bowiem, co go otaczali, wiedzieli daleko lepiej od niego, czego mu potrzeba. Wynikiem takiego stanu rzeczy stała się pozorna czołobitność i pokora, połączona z pewną poufałością służących względem panów, o której my Europejczycy nie mamy pojęcia. Niewolnicze posłuszeństwo nie jest tam wcale uważane za cnotę i ciż sami służący, którzy przed swymi panami padają na kolana, przekroczą bez wahania ich zakaz, jeżeli tego dla dobra samych zwierzchników okaże się potrzeba.

Nieraz się zdarza, że otrzymawszy jakieś rozkazy od pani, służący postępuje według własnego widzimisię i jeżeli tylko dobrze wywiąże się z zadania, to może być pewny, że go nawet najłżejsza nie spotka wymówka.

Wieczorem po skończonej pracy dziennej, cała rodzina zasiada dokoła *hibaszi*, gdzie dzieci uczą się lekcji, pani domu szyje, opodal zaś siedzą służące również zajęte robotą i biorą żywy udział w rozmowie, czego nikt za złe im nie poczytuje.

To, co się u nas nazywa służbą, w Japonii zupełnie odrębną odgrywa rolę i nikt względem służących nie okazuje pogardy, a to dlatego, że wszystkie żony w większym lub mniejszym stopniu służą swoim mężom.

Służące przyjmowane do domów zamożnych, muszą brać zawsze lekcje etykiety, często bowiem towarzyszą swej pani do teatru lub znajomych, pracują z nią razem, w razie zaś jej nieobecności przyjmują wizyty, podają gościom herbatę lub łakocie, a nawet bawią ich rozmową aż do chwili powrotu gospodyni domu. Nie dziw też, że wszyscy goście bardzo grzecznie i delikatnie z niemi się obchodzą, gdyż są to raczej rezydentki, niżeli służące, które za względy, jakimi się cieszą, odpłacają się niezachwianem przywiązaniem i wiernością.

Jeżeli młoda kobieta wielki dla siebie, jako go-

spodyn domu, nakazuje szacunek, to bardziej jeszcze szanuje ją Japończyk, jako matkę rodziny, co najzupełniej jest zasłużone. Każda Japonka ani na chwilę nie przestaje troszczyć się o swe dzieci, składając ciągle niemal dowody zupełnego zaparcia się siebie. Ojciec bardzo mało zajmuje się dziećmi i jeżeli teściowa nie staje na przeszkodzie, to przynajmniej w dziecięcym pokoju matka rodziny wszechwładną jest królową.

Trudno znaleźć w rodzinnem życiu japońskiem coś piękniejszego i bardziej godnego uwielbienia, jak ścisły, serdeczny i tkliwy stosunek pomiędzy dziećmi a matką, która otaczając je ciągłą troskliwością i opieką, na młodociane ich umysły olbrzymi wpływ wywiera. Słusznie też rzecz można, że dzieci pozwalają częstokroć swym matkom zapominać o najdotkliwszych troskach i boleściach. Nadto w Japonii, jak i wszędzie zresztą, znajduje się wiele kobiet bardzo inteligentnych, zręcznych i pełnych taktu, które baczną na wszystko zwracając uwagę, stają się częstokroć powiernicami, a nawet doradczyniami swych mężów. Dlatego też jest tam daleko więcej szczęśliwych i dobranych małżeństw, niżby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka.

Naturalnie wszystko to zależy od mniej lub więcej rychłych postępów Chrystyanizmu, byleby tylko nie psuli protestanci swoją niezgodą to, co zasiali misjonarze katolicy.

Chociaż prawo japońskie uznaje jedną tylko małżonkę, pozwala jednak cesarzowi żyć w wielożeństwie. Cyfra towarzyszek życia Mikady nie może przechodzić dwunastu, zmniejsza się stopniowo dla całej falangi książąt i rozmaitych dygnitarzy, uprawnionych także do wielożeństwa. Wprawdzie większa część żon umie nakazać szacunek dla rodzinnego ogniska, jeżeli jednak to się im nie uda, wówczas muszą z uśmiechem zgodzić się na wszystko, a nawet dzieci nieswoje przyjąć za własne, skoro pan domu od niej tego wymaga. Smutne takie wypadki zdarzają się nader często wśród najwyższej arystokracji.

Należy jednak przyznać, że jeżeli pierwsza małżonka zgodzi się na adoptacyę syna swej rywalki, wówczas ta ostatnia zajmuje względem swego dziecięcia stanowisko zwykłej służącej. Zresztą na mocy ustawy w ostatnich wydanej czasach, dzieci takie nie mogą rościć pretensyi ani do tytułów, ani do spadków po swoim ojcu, tak dalece, że tylko syn cesarzowej ma prawo zasiąść na tronie, w przeciwnym zaś razie korona do innej przejdzie gałęzi.

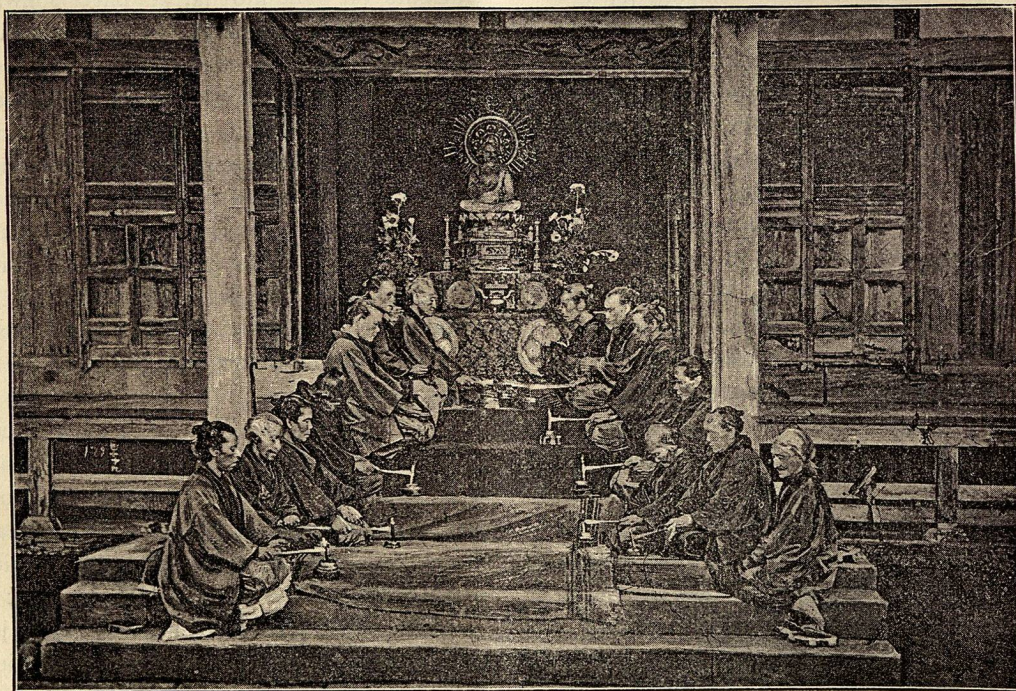
Natomiast żona ubogiego rzemieślnika, kupca lub rolnika, nie potrzebuje żadnych obawiać się rywalki i w daleko lepszym znajduje się położeniu, niżeli wielka pani, upokarzana na każdym kroku przez swojego męża. Wprawdzie egzystencja ubogich Japończyków godną jest politowania, gdyż muszą oni toczyć ciągłą walkę z nędzą, powodziami, głodem i podatkami, ale bądź

co bądź małżonkowie pracują razem na stopniu zupełnej równości i ten z nich rządzi domem, kto ma więcej sprytu, inteligencji, oraz mocy charakteru. Dwoje biednych tych ludzi, zaprzężonych do jednego jarzma, ciągnie je razem aż do końca życia, wytrwałość zaś ich, rezygnacja, a nawet wesołość, wzbudzają mimowolnie w każdym cudzoziemcu uwielbienie i szacunek.

U wieśniaczej ludności, wydziejonej całkowicie ze wszelkich dóbr ziemskich, przechowały się najwierniej dawne religijne tradycje. Pomimo swego ubóstwa, wieśniacy zawsze znajdują szeląg dla swoich bogów, z połączonych zaś tych szelągów olbrzymie tworzą się kwoty.

Tak na przykład niedawno temu zbudowano w Kioto ogromną buddyjską świątynię, ozdobioną przepysznymi rzeźbami, a będącą wyłącznie dziełem rolników i rzemieślników, którzy ofiarowali darmo materiały i pieniądze. Kobiety nawet, pragnąc się przyłożyć do tego dzieła, ucięły długie swe włosy, uważane za najpiękniejszą ozdobę i ofiarowały je do wyrobu ogromnych lin, za pomocą których windowano w górę drzewo niezbędne do budowy. Dziś jeszcze wiszą tam długie i grube czarne liny, w których tu i owdzie pomiędzy kruczemi włosami młodych dziewcząt, bieleją tu i owdzie srebrne włosy ich babek.

Na bagniskach i niezdrowych polach ryżowych —



Niewiasty japońskie na modlitwie przed bożkiem; podług fotografii nadesłanej przez X. J. M. Corre apost. missyon. z Kumamoto w Japonii.

pisze Miss Bakon — spostrzega się nieraz mnóstwo ludzi, brnących do kolan w błocie, a ubranych w krótkie bluzy, wąskie niebieskie spodnie i szerokie kapelusze podobne do dzwonów. Na pierwszy rzut oka wszyscy ci rolnicy wydają się mężczyznami, przypatrzysz się jednak dokładniej, spostrzeżemy, że niektóre z nieszczęśliwych tych istot, mają szerokie pasy związane w ogromny węzeł dokoła bioder i po pasach tych poznajemy kobiety.

W okolicach górzystych napotyka się rano kobiety uzbrojone w ogromne topory, wieczorem zaś widzi się już obarczone wiązkami drzewa, które rąbały w lesie. Jeżeli potrzeba tragarzy dla dźwigania pakunków, kobiety ochnocho tego się podejmują. Zwykle też końmi opiekują się mężczyźni, młode zaś i łagodne klacze powierzają opiece kilkunastoletnich dziewcząt,

różniących się od męskich swych towarzyszy tylko szerokim czerwonym pasem.

Oprócz wszystkich tych prac, wieśniaczki trudnią się jeszcze niektórymi gałęziami przemysłu, a mianowicie hodują jedwabniki, przędą i tkają jedwab lub bawełnę, zbierają herbatę i t. p. Niektóre z nich nawet utrzymują hotele, oberże i sklepiki z gorącą herbatą, napotykanie we wszystkich niemal wioskach, i chociaż chciwe są zysku, ale wynagradzają to uprzejmością, wesołością i gościnnością.

Jakąż nagrodę otrzymuje kobieta za tak ciężkie i liczne trudy? Oto, jeżeli twarz kobiet z wyższych warstw społeczeństwa zdradza wiele przeżytych cierpień, poświęceń i ofiar, to natomiast kobieta, której życie wpośród ciągłej upływa pracy, staje się samodzielną, zwawą, wesołą i nie zna wcale, co to nudy lub apatya.

Im bardziej jaki cudzoziemiec zacznie się zapuszczać w głąb Japonii, tem więcej na każdym niemal kroku będzie go uderzał brak wszelkiej przyzwoitości, który nawet niekiedy pozwala zwątpić o jakiegokolwiek cywilizacji. Latem jedyny ubiór wieśniaka stanowi kapelusz i wachlarz zawieszony u pasa, żona zaś bardzo często naśladuje swego męża w tej mierze. Wieczorem wreszcie cała rodzina zasiada w takim prymitywnym stroju przed domem, wcale się tego nie wstydząc. Jeżeli we wsi zatrzyma się *kuruma* jakiegoś podróżnika, wówczas cała ludność wybiega na jego powitanie w stroju, jakiśmy powyżej opisali, co dla cudzoziemca nader rażący i nie miły przedstawia obraz.

W miastach i wioskach przez otwarte okna parterowe widać zawsze rozmaite szczegóły domowego życia, toalety i t. p., gdyż Japończycy nie starają się wcale ukrywać je przed oczyma przechodniów.

Ogromne publiczne łaźienki otwarte są wszędzie dla wszystkich bez wyjątku, w kąpielach zaś morskich przepisy przyzwoitości bardziej jeszcze niż gdziekolwiek lekceważone bywają. Wszystko to, jak mówią Japończycy, jest dowodem niewinności i czystości obyczajów, bo podług ich mniemania nic nie może być niewłaściwym, jeżeli chodzi o zdrowie, higienę, wygodę lub pożyteczną pracę. Natomiast najmniejsza chęć popisywania się swemi wdziękami, uchodzi w Japonii za nie-



Japonia. — Brama przed wielką świątynią pogańską w Kioto; podług fotografii nadesłanej przez X. J. M. Corre apost. missyon. z Kumamoto w Japonii (zob. str. 264).

darowaną oznakę nieprzyzwoitości. Dekoltowane suknie i krótkie rękawy Europejki, wydają się Japończykom skandalicznymi, i Japonka, która rano kąpała się publicznie, umarłaby wieczorem ze wstydu, gdyby jej kazano włożyć taką toaletę. Ileż to razy chcąc sobie zdać sprawę z rozmaitych anomalij, potrzeba tylko zmienić punkt widzenia, z jakiego na nie się zapatrujemy!

Widzieliśmy już, czem jest Japonka w rodzinie i społeczeństwie w wieku dziecięcym, młodzieńczym i dojrzałym, rzucmy więc jeszcze na nią okiem wtedy, gdy już szron starości pobilił jej włosy. Wbrew zwyczajom przyjętym na Zachodzie, w Japonii rozpoczyna się dla niej wówczas najszczęśliwszy okres życia. Dlatego też nigdy żadna Japonka nie wstydzi się wyznać, ile ma lat i stopniowo w coraz ciemniejsze ubiera się

suknie, zmniejsza wysoką fryzurę, a wreszcie wyrzeka się wszelkich ozdób, jako nieodpowiednich dla sędziwego wieku.

W miarę, jak wdzięki młodości coraz bardziej więdną i znikają, wzrastają przywileje w kółku rodzinnym i towarzyskim. Po wielu latach wytrwałej pracy i służalczej uległości, matka rodziny otrzymuje wreszcie oddawna należną sobie nagrodę. Teściowa jej pożegnała się już ze światem, ona zaś z kolei została sama teściową, prawdziwą panią domu, doradczynią synów, kierowniczką wnuczek, słowem osobą najbardziej szanowaną w rodzinie, która może swobodnie objawić swe zdanie, spędzać czas, jak jej się podoba i wymagać usług od dzieci lub wnuków. Niekiedy przez czas niejaki zajmuje się jeszcze gospodarstwem domowym, jeżeli zdrowie na to jej pozwala, lecz czyni to nie z obo-

wiązku, tylko z zamięłowania. Pieści ona wnuków, opowiada im długie bajki, wychodzi kiedy zechce, we dnie zaś świąteczne idzie do świątyni, aby zapewnić opiekę bogów dla swoich na tym świecie, a dla siebie na tamtym. Oddawna już złożyła ona jarzmo trosk, pracy i obowiązków, dzisiaj zaś wszystko dokoła niej oddycha szczęściem i spokojem.

Od 35 roku życia piękność jej zwiędła a pergaminiowa twarz, licznymi pokryta zmarszczkami, przybrała wyraz łagodnej rezygnacji, która każdego cudzoziemca, przeniesionego do japońskiego społeczeństwa, uderza na pierwszy rzut oka. Usta jej nie przestały się uśmiechać, głos dawną zachował dźwięczność, zmarszczki zaś wyrte na czole i twarzy, są raczej śladami cierpień zniesionych mężnie i z godnością, niżeli zniechęcenia lub goryczy. W Japonii starość tak wielkim otoczona jest szacunkiem, że nawet kobiety, które za młodu niezbyt moralne wiodły życie, znajdują zawsze schronienie u bliskich swych krewnych, a sędziwa ciotka takimż samem, jak matka lub babka, cieszy się względami. Nic dziwnego, że w takich warunkach starość jest pożądaną i oczekiwaną z upragnieniem, jako najpiękniejsza na ziemi nagroda.

Okropne uczucie egoizmu, który nam Europejczykom każe poczytywać uboższych krewnych za nieznośny ciężar, nie napotyka się w żadnej klasie Japońskiej ludności. Przeciwnie, wszelka ofiara na korzyść sędziwych członków rodziny, uchodzi za rzecz zupełnie prostą i naturalną, za nieuniknione i niezłomne prawo moralności. Tak dalece nawet starość uważa się tam za okres spokoju i cichego szczęścia, że ojciec rodziny od 50 roku życia, powierza swe dobra, dochody i sprawy najstarszemu synowi, sam zaś dobrowolnie staje się od niego zależnym, mówiąc, że wychowawszy jak najlepiej liczną rodzinę, spełnił już swe zadanie.

Naturalnym tego wynikiem jest daleko mniejsze przywiązywanie się do pieniędzy u tego ludu, nie znającego wzniosłych naszych prawd religijnych, niżeli u nas Europejczyków. Życzyć więc wypada, aby wprowadzenie obcych żywiołów nie osłabiło tego tak wysoce moralnego i cywilizacyjnego uczucia. (Dok. nast.).

Rzut oka na missye „Ojców Białych“.

Następujący list X. biskupa Livinhaca, który po zgonie kardynała Lavigerie stanął na czele Stowarzyszenia misyjnego algijskich, jako ich generalny przełożony, jest dokładnym obrazem apostolskiej pracy, dokonanej z inicjatywy Ojców Białych. W przeciągu lat kilku, młodociana ta kongregacja zajęła nader zaszczytne stanowisko obok najdawniejszych zakonów, które dzięki

wyświadczonym przez siebie usługom, największym cieszą się szacunkiem. Rozległe pole pracy, wyznaczone jej przez Stolicę apostolską, jak również wielka gorliwość i miłość bliźniego, odziedziczona po szlachetnym jej założycielu, pozwalają się spodziewać, że członkowie tej Kongregacji odniosą za swe trudy jeszcze piękniejsze, niż opisane w poniższym liście owoce.

I.

Podróż w obrębie missyj OO. Białych. — W Algierze. — Wioski arabskie. — W Kabylji. — Szkoły i szpitale. — Missya na Saharze i w Tunisie. — Malta. — Murzyńscy lekarze. — Kościół św. Anny w Jerozolimie. — Afryka podróżnikowa. — Droga do Wielkich Jezior. — Kapitan Joubert. — Wikaryat apostolski Tanganiki. — Wykupione dzieci. — W Unyanyembe. — Obyczaje mieszkańców. Nadzieje na przyszłość w Nyanzie.

Chciałbym wam donieść o licznych ewangelizacyjnych pracach, jakie, dzięki waszym modłom i jałmużnom, mogliśmy przedsięwziąć i uskutečnić. Jeżeli będziecie mieli cierpliwość, aby przebieść ze mną rozmaite afrykańskie kraje, w których misjonarze nasi głoszą Chrystusową naukę i rzucić okiem na ich działalność, to przekonacie się, że wspaniałomyślność wasza wydała pocieszające wyniki, zdolne przyczynić się w wysokim stopniu do chwały Bożej i zbawienia dusz.

Zacznijmy od Algieru, on bowiem był kolebką drogiej naszej missyi. Przed 26 laty Jego Eminencya kardynał Lavigerie, świętej i chwalebnej pamięci, wyładował na wybrzeżu Afryki, której miał stać się wielkim apostołem. Wkrótce potem głód zniewolił mnóstwo pogańskich rodziców do powierzenia swych dzieci temu, który stał się dla nich jakby prawdziwym ojcem i pozyskał je dla Chrystusa. Wielu młodych seminarzystów pospieszyło mu z pomocą na tem nowem polu pracy i w taki sposób Stowarzyszenie nasze utworzone zostało.

Do wychowania sierót, powierzonych Ojcom i Siostram z missyi algijskiej, przyczyniło się znacznie Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary, poświęcając na cel powyższy nader sówite jałmużny. Od tej chwili wielu naszych wychowanców umarło śmiercią chrześcijańską, z pozostałych zaś jedni są misjonarzami, drudzy doktorami medycyny, odznaczającymi się na tem stanowisku prawdziwie religijnem usposobieniem, inni wreszcie stanowią chrześcijańską ludność w missjach św. Cypryana i św. Moniki, gdzie wzrasta obecnie znaczna ilość arabskiej młodzieży, nawróconej już na katolicyzm.

W roku ubiegłym głód, jaki się szerzył w niektórych zakątkach Algieru, zmusił nas do powtórzenia chociaż w niewielkim stopniu tego, co w r. 1868 nieodżałowany założyciel naszego Stowarzyszenia na szeroką dokonał skalę. Oto przyjeśliśmy pod naszą opiekę przeszło 300 dzieci, które jako sieroty uważają nas za swych ojców i wszystkiego tylko od nas oczekują. Cała ta dziatwa mieści się w dwóch przytuliskach. W pobliżu wioski św. Cypryana na dolinie Szelifu znajduje się

ochronka dla chłopców, przy nowicyacie zaś Sióstr ze zgromadzenia Królowej missyj afrykańskich w św. Karola założyliśmy ochronkę dla dziewcząt. Z obu tych zakładów, jeżeli środki na to pozwolą, wynijdzie kiedyś liczny zastęp młodzieży, która stanie się jakby zarodkiem nowych chrześcijańskich wiosek.

Gorliwy Arcybiskup algierski nie poprzestał jednak na wspieraniu nieszczęśliwych ofiar głodu, ale w r. 1873 wysłał swych missyjonarzy do pasma gór Atlas, zamieszkiwanego przez ludność kabylską. — Dzięki waszym jałmużnom, missyję tamtejszą mogliśmy utworzyć i do dnia dzisiejszego zdołała się utrzymać. Wprawdzie początek tego apostolstwa był nader uciążliwy i trudny, należało bowiem wykorzenić mnóstwo zastarzałych przesądów i zwalczyć trudności, uważane dotychczas za niezwykłe, ale gorliwość i cierpliwość mężów Bożych odniosła nad nimi zwycięstwo, tak, że niebawem missyjonarze zjednali sobie ogólne uznanie i szacunek. Od rana aż do wieczora oblegali missyję chorzy, dzieci zaś tłoczyły się tłumnie na ławach miejscowej szkoły.

W przeciągu lat piętnastu, missyjonarze mogli tylko dawać dorosłym dobry przykład, dzieciom zaś, mającym pożegnać się ze światem, otwierali przez Chrztę święty bramę niebios. W ostatnich atoli czasach Kabyliowie zapragnęli sami poznać religię, zdolną natchnąć swych wyznawców takim poświęceniem i zaparciem się siebie. Dziś mamy już tam aż sześć stacyj missyjnych, w każdej zaś z nich mieszka niewielkie grono chrześcijan, ochrzczonych po czterech latach próby i licznych katechumenów przygotowujących się do Chrztu świętego. Należy przyznać, że nawrócenia te nie wywierają bynajmniej na umysły niewiernych Kabyliów tak ujemnego wrażenia, jakiego niegdyś się obawiano. Nietylko muzułmanie nie dokuczają wcale swym braciom, którzy Chrystusową przyjęli naukę, ale nawet winszują im niekiedy odwagi, z jaką się przechylili na stronę religii, uważanej przez siebie za prawdziwą. Mielśmy tego wymowny przykład w Ben Ismail, w tak zwanym *dżemanie*, to jest budynku gminnym, gdzie się odbywają zebrania i narady wszystkich mieszkańców wioski.

Pewnego razu zapytano dwóch kabylskich katechumenów, czy to prawda, że się wyrzekli islamu. — Jeden z nich oświadczył bez wahania, iż przyjął religię Sidna-Aissa (Jezusa Chrystusa), drugi jednak nie śmiał pójść za tym przykładem. Wówczas Kabył muzułmanin, który w imieniu całej gminy zadał im to pytanie, powinszował pierwszemu, iż się nie wahał wyznać otwarcie religijne swe przekonanie, drugiego zaś zganił surowo za brak tej szlachetnej odwagi.

Zdarza się jednak niekiedy, że w razie niebezpiecznej choroby naszych neofitów, rodzice lub krewni starają się ich skłonić, aby wrócili do zasad islamu, mówiąc, że w taki tylko sposób zdołają zapewnić sobie

zbawienie. W ostatnich dniach lipca roku ubiegłego, pewien młodzieniec, który przez czas długi uczęszczał do szkoły Ojców i na własne żądanie został ochrzczony wówczas, gdy zapadł w niebezpieczną chorobę. Kiedy już znikła wszelka nadzieja jego ocalenia, rodzice zaczęli go błagać, aby odmawiał głośno znaną muzułmańską formułę: *La illah il Allah, Mohammed rassul Allah* — jeden jest Bóg, a Mahomed jest jego prorokiem. Atoli chłopak oparł się stanowczo tym namowom, gdy mu zaś podano amulet do ucałowania, plunął nań i oświadczył, że otrzymawszy Chrzest święty, pragnie umrzeć nie jako muzułmanin, lecz jako chrześcijanin.

Ostatni ten rys świadczy wymownie o dobroczynnym wpływie naszych szkół. Mamy ich obecnie sześć, uczęszcza zaś do nich 679 chłopców. Nadto Siostry ze zgromadzenia Królowej missyj afrykańskich posiadają trzy szkoły dla dziewcząt, liczące 310 uczennic.

W przeciągu roku ubiegłego, ilość chorych, pielęgowanych w naszych szpitalach, dosięgła poważnej cyfry 48.720 osób. Dodajmy nadto, że w ostatnich czasach założyliśmy w stacyach missyjnych pod wezwaniem św. Elżbiety i św. Cypryana szpitale, w których stu chorych znajdzie schronienie i opiekę.

Ziarno gorczyczne zatem wyrosło w wielkie drzewo i gałęzie jego rozpostarłyby się niebawem nad całą Kabylią, gdybyśmy mieli dostateczną ilość missyjonarzy i odpowiednie środki, aby mózdz założyć szkoły wśród wszystkich tutejszych plemion.

Missya nasza na Saharze, założona w tym samym czasie i w takiż sam sposób, jak i missya w Kabylii, napotkała na swej drodze niemałe trudności. Chociaż jednak piasek tej pustyni jest już skropiony krwią sześciu naszych współbraci, nie zdołało nas to wcale zniechęcić i dzisiaj missya na Saharze zamienioną została na wikaryat apostolski. Najważniejszą ze stacyj missyjnych na tej pustyni jest Gardaja, odległa o 650 kilometrów od Algieru i stanowiąca rezydencję wikaryusza apostolskiego.

I tam również Siostry ze zgromadzenia Królowej missyj afrykańskich mają szpitale i szkoły, do których nader wiele uczęszcza dzieci.

Nie powinienem też pominąć milczeniem naszych zakładów w Tunisie, a między innemi stacyj missyjnej na wyspie Dżerba w odnodze Gabesu. Wyspa ta ocieniona mnóstwem palm i drzew oliwnych, wygląda jak prawdziwa oaza. Wraz z missyjonarzami pracują także Siostry nad nawracaniem ludności arabskiej w Tunisie, która zdaje się być daleko lepiej usposobioną dla wiary świętej od mieszkańców algierskiej Sahary i piękniejsze też na przyszłość rokuje nadzieje.

Zwróćmy się jednak teraz do missyi w Afryce podrównikowej, przedtem zaś zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę na Malcie, którą mieszkańcy zowią kwia-

tem świata. Nie będziemy mieli, niestety, czasu na przypatrzenie się wszystkimi jej pięknościami, ale przynajmniej wstąpmy do naszego instytutu w Casal-Tarxen, gdzie od lat piętnastu wychowujemy młodych murzynów, oswobodzonych z niewoli. Głównym celem tego zakładu jest wykształcenie murzyńskich młodzieńców na katechistów, a zarazem udzielanie im wiadomości z dziedziny medycyny, w takim przynajmniej zakresie, aby po powrocie do ojczyzny, mogli pielęgnować chorych. Kilkunastu murzynów ukończyło już naukę w tym instytucie i wróciło do naszych wikaryatów w Afryce środkowej, gdzie spełniają obecnie obowiązki nauczycieli, katechistów, lekarzy, a nawet niekiedy naczelników chrześcijańskich wiosek. Przedewszystkiem nad brzegami Tanganiki, gdzieśmy założyli liczne wsie chrześcijańskie zamieszkane przez dawnych naszych wychowanców, murzyni wykształceni w zakładzie maltańskim nieocenione oddają nam usługi. Oto, co w tej mierze pisał Ojciec Roelens, prowikaryusz apostolski górnego Kongo:

»Młodzi murzyni, wychowani na Malcie, są dla misyonarzy nader pożytecznymi pomocnikami, wyręczają ich bowiem w pielęgnowaniu chorych i dziatwy szkolnej, a zwłaszcza w katechizacji mieszkańców odległych wiosek, do których Ojcowie pomimo szczerych chęci, nie zawsze dotrzećby zdołali. Dzięki tożsamości rasy i koloru skóry, katechiści ci daleko lepiej niż misyonarze, widziani są przez murzynów, nie zdradzających wobec nich tego niedowierzania i nieufności, jaką nieraz względem nas okazują. Wreszcie głęboko chrześcijańskie wychowanie, zdala od wszelkich wpływów barbarzyństwa i poganizmu, wyrobiło murzyńskich młodzieńców na ludzi przesiąkniętych chrześcijańskimi zasadami, którzy czują, myślą, mówią tak, jak my, dla neofitów zaś doskonałym są wzorem. Dlatego też nie tylko słowem, ale i przykładem mogą oni wywrzeć wpływ nader doniosły na udoskonalenie moralne nawróconych już krajowców«.

Niestety, jednak podróże zbyt wiele nas kosztują, tak, że będziemy musieli powierzyć przełożonym misyji kształcenie na miejscu murzyńskich katechistów.

Jeżeli się zwrócimy do Zanzjbaru, to po drodze będziemy mogli zboczyć do świętego miasta. Chociaż bowiem Jerozolima nie leży w Afryce, musieliśmy jednak z rozkazu Stolicy Apostolskiej założyć tam ogromne seminaryum, w którym kształcimy Greków melchitów, przeznaczonych do stanu kapłańskiego. Zakład ten zbudowany obok kościoła św. Anny, liczy obecnie około stu seminarzystów rozmaitego wieku. Od chwili swego założenia w r. 1876, seminaryum jerozolimskie dało już Kościołowi wschodniemu kilku światłych, pobożnych i gorliwych kapłanów, za co niejednokrotnie od Namiestnika Chrystusowego otrzymywało słowa pochwały i zachęty. Musimy też dodać, że Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary wspiera nas o ile możliwości,

w przeciwnym bowiem razie nie zdołalibyśmy pokryć wszystkich wydatków, jakie pociąga za sobą utrzymanie szesnastu misyonarzy, kierujących tym zakładem i stu seminarzystów, zwykle bezpłatnie tam kształconych. Z przyjemnością zwiedzilibyśmy szczegółowo piękny kościół św. Anny z kryptą, przerobioną z dawnego domku rodziców Maryi i z grobowcem, w którym ich popioły od tylu już spoczywają wieków, ale niestety, wszystkie te szczegóły za daleko by nas zawiodły.

Podążajmy więc dalej w głąb Afryki podrównikowej za 114 misyonarzami, których jużemy tam wysłali. Przebywszy myślą w mgnieniu oka morze Czerwone, zatokę Adeńską i ocean Indyjski, zatrzymajmy się w zanzjbarskiej prokuratury, gdzie misyonarze nasi organizują karawany, aby za ich pośrednictwem przesać naszym braciom, pracującym w głębi kraju, bawełniane tkaniny, paciorki, druty miedziane, używane zamiast monety i mnóstwo innych przedmiotów, niezbędnych do zakładania szkół, warsztatów i szpitali tam, gdzie nic prawie nie możnaby znaleźć. Zresztą współpracownicy nasi wychowują kilkunastu młodych murzynów, wykupionych z niewoli, z których najzdolniejsi kończą swe wykształcenie na Malcie, inni zaś wraz z karawanami wracają do ojczyzny, aby tam służyć misyonarzom za pomocników i tłumaczy.

Z Zanzjbaru będziemy mogli dotrzeć do Wielkich Jezior dwoma odrębnymi drogami: jedna z nich uczęszczana przez wszystkie karawany, zagłębia się naprzeciw wyspy do wnętrza kraju, druga zaś wiedzie przez rzekę Zambeż i jezioro Nyassę. Jeżeli się puścimy tą ostatnią, to dostaniemy się niebawem do misyji Najświętszej Panny Anielskiej we Mambwe, rezydencji prefekta apostolskiego. W ciągu tej podróży ujrzymy na zachodnim brzegu rzeki Chire i jeziora Nyassa liczne stacje misyjne, należące do protestantów. Co za szkoda, że misyonarze katolicy nie zdołali dotrzeć w porę do biednych tamtejszych ludów!

O trzysta przeszło kilometrów od jeziora Nyassa leży stacja misyjna pod wezwaniem Najświętszej Panny Anielskiej. Tam będziemy mogli odetchnąć swobodnie i pokrzepić się myślą, że codziennie na misyjnym ołtarzu odbywa się ofiara Baranka bez zmayı, umęczonego dla zgładzenia grzechów świata. Misyja ta leży na bardzo wyniosłym płaskowzgórzu, gdzie powietrze jest tak czyste, a klimat tak łagodny, że kilku już chorych naszych współbraci odzyskało tam zdrowie.

Chociaż misyja powyższa jest jeszcze jakby w kolebce, atoli dość liczne stosunkowo grono chrześcijan reprezentuje już w niej Kościół katolicki, ilość zaś katechumenów do stu dochodzi. Prześliczne plantacje trojeści (*eucalyptus*), jak również rozległe ogrody, w których rosną europejskie jarzyny, świadczą, że misyonarze umieją pożytecznie użyć czasu, pozostałego po spełnieniu obowiązków świętego swego powołania.

Kilka dni drogi dzieli missyę Najświętszej Panny Anielskiej od wikaryatu górnego Kongo, leżącego na zachód od jeziora Tanganika. Pierwszą stacyę misyjną, jaką napotkamy na tej przestrzeni, jest missya św. Ludwika w Mrumbi, rezydencyi kapitana Jouberta. Dzielnym człowiekiem, po wielu latach gorliwej służby w szeregach żuawów papieżkich, opuścił ojczyznę i rodzinę, ażeby bronić biednych neofitów z górnego Kongo od częstych muzułmańskich napaści.

Należy z uznaniem przyznać, że wszyscy miejscowi wodzowie dobrowolnie i ochoczo poddali się jego rozkazom, bez niego zaś rozbójnicze bandy arabskie zniszczyłyby już od dawna wszystkie nasze missye w nieszczęsnej tej krainie.

Missya świętego Ludwika we Mrumbi liczy już spore grono chrześcijan. Każdej niedzieli przybywa tam na cały dzień kapłan z sąsiedniej stacyi misyjnej dla odprawienia nabożeństwa, we dni powszednie zaś sam kapitan Joubert przewodniczy odmawianiu modlitw porannych i wieczornych, a nawet spełnia niekiedy obowiązki katechisty i lekarza. Trudno znaleźć coś bardziej rozrzewniającego, jak widok dzielnego tego żołnierza, gdy z troskliwością godną Sióstr Miłosierdzia pielęgnuje chorych. On również trudni się rozstrzyganiem wszelkich zawiłych spraw i nieporozumień, dzięki zaś wpływowi, jaki sobie już zdobył pomiędzy krajowcami, wszystkie jego wyroki bywają zwykle ochoczo przyjęte i spełniane. Liczni oficerowie belgijscy, wysłani do górnego Kongo, nie mogą znaleźć dla kapitana Jouberta dostatecznych słów pochwały i uznania. Oto naprzykład, co o nim pisze p. Doquier w jednym z ostatnich swych listów:

»Im bardziej poznajemy kapitana Jouberta, tem więcej szanujemy go i kochamy, gdyż jest to święty prawdziwie człowiek. W obecnej chwili cierpi on bardzo na dysenterję, której się nabawił przy pielęgnowaniu krajowców, dotkniętych tą chorobą. Cześć takiemu bohaterowi! Miejmy nadzieję, że Bóg długo jeszcze go zachowa!«¹⁾.

¹⁾ Oddając niniejszy artykuł do druku, otrzymujemy wiadomość z Brukselli, że kapitan Joubert przybył do stolicy belgijskiej dla poratowania bardzo nadwątłego zdrowia. (Przyp. Red.).

Po sześciu lub ośmiu godzinach żeglugi w pirogu, możemy przybyć z missyi świętego Ludwika do stacyi misyjnej pod wezwaniem Najświętszej Panny w Mpali, jednej z głównych rezydencyj naszych misyjnarzy w górnym Kongo. Misyjonarze tamtejsi, nauczawszy się wyrabiać wapno, zbudowali sobie obszerny dom murywany, opasany takimże samym parkanem, który go zabezpiecza od napaści Arabów, snujących się po całym tym kraju w celu chwytania niewolników. W pobliżu rezydencyi misyjnej ciągną się piękne warzywne ogrody, pola zasiane zbożem, dalej zaś nieco liczne wioski, za-

ludnione wyłącznie przez neofitów. Nie dziw też, że missya w Mpali wprawia w zachwyt wszystkich podróżników. Pociągające wyniki przez nią osiągnięte, zawdzięczamy przeważnie O. Guillememu, odznaczającemu się prawdziwie apostołską gorliwością. W chwili założenia tej missyi, kilka tysięcy nieszczęśliwych dzieci z Kongo, zarówno chłopców jak dziewcząt, zostało przez nas wydartych z ciemności poganizmu, a zarazem oswobodzonych z niewoli. Niektóre z nich, wycieńczone głodem i rozmaitemi cierpieniami, zdawały się po to tylko przybywać do missyi, ażeby poznać prawdziwego Boga i wkrótce na wieki z Nim się połączyć, niezwłocznie bowiem po przyjęciu Chrztu św. pożegnały się z tym światem. Inne wychowały się szczęśliwie i każdego roku około trzydziestu chłopców i dziewcząt łączy się ze sobą węzłem małżeńskim,

tworząc w ten sposób chrześcijańskie rodzinne ogniska. Przed piętnastu laty w całej tej krainie panowało bałwochwalstwo i zupełne barbarzyństwo, dzisiaj zaś nad rzeką Marungu wznoszą się już liczne chrześcijańskie osady. Przechadzka po tych wioskach byłaby dla nas nader przyjemną i zajmującą, ale zbyt wiele zabrałaby czasu. Pożegnajmy więc naszych współbraci i poczwicznych chrześcijan z górnego Kongo, aby się przenieść nad wschodni brzeg jeziora, stanowiącego zachodnią granicę wikaryatu apostołskiego Tanganiki.

Złożmy najprzód uszanowanie X. biskupowi Lechaptois, zajętemu obecnie zakładaniem nowej stacyi misyjnej nad brzegiem prześlicznej zatoki. Nowa ta missya będzie się wznosiła w Kali pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła. Rozpoczęto już



Afryka. — Typ Somalisa; podług fotografii przysłanej przez X. Daniela Sorur Pharim Dena.

nawet budowę domu dla misyjnarzy na niewielkiem wzgórzu, z którego wspaniały na całe niemal jezioro rozciąga się widok. Krajowcy tamtejsi nader uprzejmie przyjęli naszych współbraci i schodzą się chętnie na lekcję katechizmu. W ostatnich czasach wódz z Kali, jednej z największych tamtejszych wiosek, prosił misyjnarzy o zbudowanie tam domu Bożego, ażeby podwładni jego mogli uczęszczać regularnie na naukę religii. Można się spodziewać, że i inni wodzowie pójdą za jego przykładem, tak, iż niebawem nowa ta missya w również kwitnącym znajdzie się stanie, jak i stacya misyjna w Karemie, będąca obecnie jednym z najważniejszych posterunków w wikaryacie apostolskim Tanganiki.

Pierwszymi neofitami w Karemie byli wykupieni przez nas niewolnicy, wkrótce jednak po założeniu tej missyi udało się tam wielu obcych przybyszów pod opiekę misyjnarzy i dzięki im, dokoła stacyi misyjnej pod wezwaniem Najświętszej Panny, wzniosło się niebawem mnóstwo chrześcijańskich wiosek. Z Karemy, jakby z głównego ogniska, rozchodzi się Słowo Boże do wszystkich sąsiednich plemion. Tak na przykład plemię Babende, znane dotychczas ze swej dzikości, złągodniało znacznie w ostatnich czasach i dzisiaj już na placu publicznym w Kafizyi, stolicy krainy tych górali, odbywają się regularnie lekcye katechizmu, ściągające znaczną ilość słuchaczy.

W Karemie, podobnie jak w górnem Kongu, wykupywanie niewolników na szeroką prowadzi się skalę. W roku ubiegłym ilość wykupionych przez nas dzieci doszła do dwustu, gdyby zaś środki na to pozwalały, wówczas misyjnarze mogliby ocalić daleko więcej nieszczęśliwych tych istot, mnóstwo ich bowiem przyprowadzono do nas z okolic dotkniętych głodem. Niestety, musieliśmy oszczędzać nasze zbyt szczupłe fundusze. Około czterdzieści dzieci, przybyłych do missyi w stanie najokropniejszego wycieńczenia, nie zdołało już, pomimo troskliwej pieczy, odzyskać zdrowia i sił.

W każdym razie, znalazły one u misyjnarzy rzecz najważniejszą i najpożądalszą, to jest naukę religii i Chrysta świętego, dzięki któremu jednały sobie życie wieczne, daleko piękniejsze od nędznego ziemskiego żywota. Dziś niewinne te dusze modlą się do Boga za misyjnarzy, którym zawdzięczają swe zbawienie.

Opuśćmy teraz brzegi Tanganiki i udajmy się do Nyanzy przez wikaryat apostolski Unyanyemby. Stolicą tej missyi była niegdyś stacya misyjna pod wezwaniem świętego Józefa w Kipalapali, w pobliżu Taboru. Po ostatniej jednak wojnie pomiędzy Niemcami i Arabami z Zanzylaru, król tamtejszy, Sike, idąc za namową kupców z wybrzeża, zmusił naszych współbraci do szukania przytułku na południe od jeziora Wiktorya Nyanza.

W obecnej chwili rezydencya X. Prowikaryusza i główne ognisko missyi mieszczą się w Uszyrombo.

Stacyę tę założył na początku 1891 r. O. Gerboin, któremu dopomagali czterej inni misyjnarze, przyjęci radośnie przez całą ludność. Po upływie kilku tygodni, gorliwi kapłani mogli już rozpocząć wykłady katechizmu, od tej zaś chwili ilość katechumenów wzrastała coraz bardziej, tak, że dzisiaj wynosi już około czterystu osób.

Mieszkańcy Uszyrombo odznaczają się przede wszystkim łagodnością obyczajów. Niektórzy z pomiędzy nich trudnią się handlem i corocznie prowadzą karawany, wiozące na wybrzeże znaczną ilość kości słoniowej. Za powrotem do domu przywożą oni zwykle bawełniane tkaniny, paciorki i druty miedziane. W parę tygodni później organizują nową karawanę i wyruszają z nią w głąb kraju w celu zamienienia wszystkich powyższych przedmiotów na kość słoniową, którą sprzedają następnie arabskim lub europejskim kupcom. Z tego też powodu znają oni wybornie całą Afrykę środkową i sami wszędzie są znani, z nimi więc misyjnarze będą mogli dotrzeć do najdzikszych nawet plemion. W taki też sposób współbracia nasi zdołali założyć w roku bieżącym stacyę misyjną wpośród liczego plemienia Msalala, które przed kilkoma laty wyparło Anglików ze swojej ojczyzny. Oto jak O. Gerboin opisuje założenie powyższej missyi:

»Skorośmy powzięli to postanowienie, natychmiast wysłaliśmy gońca do naczelnika wioski, obranej za rezydencyę, prosząc go, aby raczył nam przysłać około stu tragarzy. W dniu oznaczonym przybyło do nas sześćset ludzi z synowcem tego wodza na czele. Ujrzawszy tak liczny oddział, zapytaliśmy, co to znaczy.

— Wim (tak bowiem wódz się nazywa) przesyła wam pozdrowienie — odezwał się naczelnik karawany — i prosi, abyście raczyli z nami udać się do jego wioski.

— Dobrze — odparłem — ale dlaczegóż tak liczną przybyliście gromadą? Wszak wiecie, że mamy zaledwie około stu pakunków.

— Tak, Wim wie o tem, ale powiedział nam: Niech was pójdzie jak najwięcej, abyście nie tylko mogli nieść to wszystko, co powierzą wam biali, lecz i ich samych, jeżeli się zmęczą podróżą.

Kraina Msalala jest jednym z zakątków rozległego wikaryatu apostolskiego Nyanzy. O parę dni drogi ztamtąd leży missya Najświętszej Panny w Kamodze, należącej już do krainy Bukumbi. Missya ta założona w r. 1883, podczas kilku pierwszych lat swego istnienia rozwijała się bardzo powoli, chociaż bowiem liczyła spore grono chrześcijan, byli to jednak po większej części murzyni wykupieni przez nas z niewoli, lub sieroty w misyjnym wychowywane zakładzie. Dopiero od lat dwóch ewangelizacya tubylczych plemion zaczęła szybszym posuwać się krokiem. Z pomiędzy katechumenów,

jacy najpierw do nas się zgłosili, dwunastu już po całorocznej nauce religii, otrzymało Sakrament Chrztu świętego, ponieważ zaś niektórzy z nich są ojcami rodzin, żony więc i dzieci pójdą niechybnie za ich przykładem. Oto, co pisał do mnie w tej mierze O. Levesque dnia 7 września 1893 r.:

»Mam już około sześciuset katechumenów, którzy dobrowolnie do mnie się zgłosili i uczęszczają regularnie na lekcje religii. Wprawdzie nie wszyscy mogą codziennie brać w nich udział, na każdej jednak lekcji miewam przynajmniej od dwustu do trzystu słuchaczy. Wielu z nich umie już wybornie mały katechizm i domaga się Chrztu świętego; pod tym względem jednak jesteśmy bardzo surowi, tak, że dopiero po czterech latach próby udzielamy tego Sakramentu. Zasługuje też na uwagę, że tutejsze plemię Basukumów, niegdyś tak dzikie, barbarzyńskie i obojętne dla wszystkich rzeczy nadprzyrodzonych, niezwykłą dzisiaj okazuje gorliwość. Jakże widocznym w cudownej tej zmianie jest palec Opatrzności Bożej i potęga łaski Bożej!«

(Dok. nast.).

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

XII.

Spalato.

Salona i Spalato są dwa miasta tak ściśle ze sobą połączone historią i zabytkami, że tworzą jakby jeden pomnik w ewolucji kilkunastowiekowej, noszący na sobie piętno niezatarte najrozmaitszych epok od czasów pogańskiego Rzymu do dni dzisiejszych. To też Msgr. Bulić, skoro raz zrobił ofiarę z czasu, aby pokazać piszącemu zabytki Salonitańskie, chciał dokończyć objaśnień i zaprosił na zwiedzanie Spalatu. Jego też nieocenionej łaskawości zawdzięczam kilka najmilszych godzin wędrówki po dawnym pałacu Dyoklecjana i tym szczegółom, z którymi pragnę czytelnika zapoznać.

Najpierw co się tyczy samego powstania miasta, wyjątkowe i może nigdzie indziej nienapotykane składały się na nie czynniki. Wyżej już powiedzieliśmy, że pierwotnie, dzisiejsze Spalato było tylko obszernym pałacem cesarskim o kolosalnych rozmiarach i należało jako część integralna do miasta Salony. Ztąd zwano go za rzymskich czasów nie inaczej, jak *Salonae Palatium Latum, vel Laetum*, w skróceniu *S-Pa-Latum*. Że rzeczywiście było *palatium latum*, części murów jego po dziś dzień zachowane dokładnie o tym świadczą¹⁾.

¹⁾ Niektórzy nowsi etymologowie wyprowadzają nazwę Spalato od słów: *Sacrum Palatium* — *Sacrum* — ponieważ mieszkało w nim bóstwo rzymskie: cesarz.

Cztery boki prostokątu są zwrócone do czterech stron świata: południowy długości 160 metrów, przytyka prawie do samych brzegów morza, północny 155 metrów długości, zwraca się ku Salonie wschodniego i zachodniego boku, długość wynosi po 190 metrów. Rozmiarom powierzchni odpowiada wysokość murów budowli od strony morza 24 metry, od strony Salony nieco mniej, z powodu terenu wyższego, z wyjątkiem facyaty zachodniej, która stosunkowo najwięcej ucierpiała wśród najazdów nieprzyjacielskich; inne trzy boki dotychczas bardzo dobrze się zachowały.

Zewnętrzny mur pałacu grubości dwu metrów prześlicznie się przedstawiał. Od strony morza był *crypto-porticus*, miejsce przechadzki pod łukami podtrzymywanymi przez 50 kolumn doryckich, nad tem wszystkim wznosiły się piękne statuy. Dotychczas przechowało się 38 kolumn, lecz z posągów pozostały zaledwie jakieś odłamki. Trzy inne facyaty o wysokości 6 metrów, tworzył szereg okien o podwójnym łuku, szerokości 2 metrów, 3 1/2 metra wysokości. Na czterech rogach pałacu wznosiły się cztery wieże czworoboczne, 12 metrów szerokie, a wystające 5 metrów po nad cały budynek. Dotychczas trzy z nich jeszcze pozostały w całej swej okazałości: dwie zamieniono na prywatne mieszkania, trzecia stoi pustkami. Prócz tych czterech wież czworobocznych, na murach wznosiły się mniejsze ośmioboczne, po jednej z każdej strony bram prowadzących do wnętrza pałacu. Trzy były doń główne wejścia: brama złota (*porta aurea*) od strony północnej, brązowa od wschodu, żelazna od zachodu. Bramą srebrną nazywano maleńkie wejście z pałacu od strony południowej do morza. Tak się przedstawiała zewnętrzna strona cesarskiego pałacu — w części dziś jeszcze zachowana.

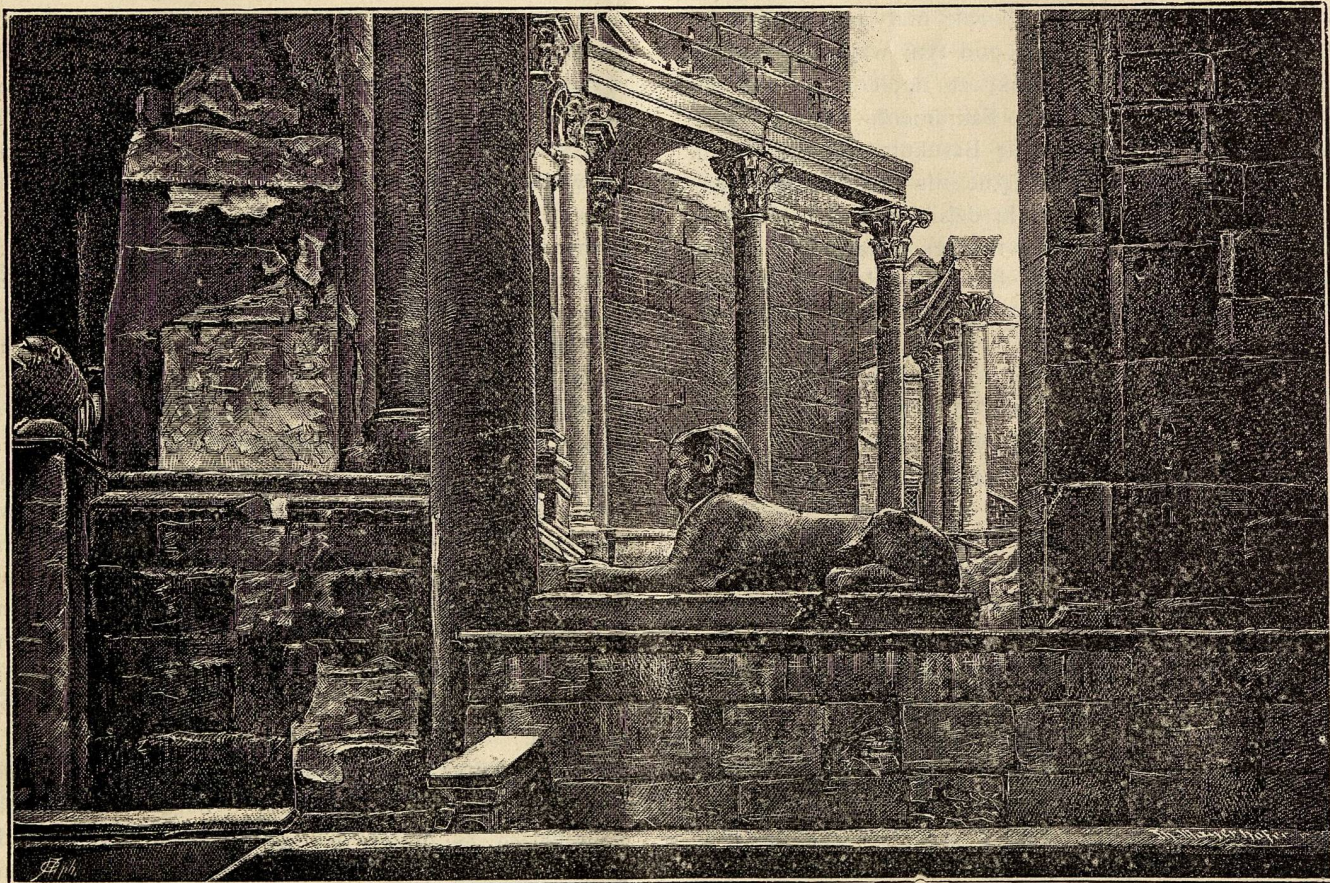
Wejźmyż teraz do wnętrza od strony północnej, t. j. od Salony — *bramą złotą* — najgłówniejszą i najwspanialszą ze wszystkich. Szeroka droga prowadzi przed plac zwany dziś *del Tempio*. Po lewej stronie były zabudowania dla niewiast, zajętych przędzalnią. Wyrabiały one płótna dla potrzeb cesarskiego dworu, wojsk i żagle dla floty. Po prawej stronie znajdował się równiej wielkości budynek dla służby dworskiej i gwardyi przybocznej cesarza. Poprzeczna ulica łącząca bramę żelazną z brązową, oddzielała te dwa budynki od właściwego pałacu Dyoklecjana. Przed wejściem do tegoż znajduje się obszerny dziedziniec czy forum o prześlicznej kolumnadzie — dziś zwany *Piazza del Tempio*. Po lewej jego stronie zbudował cesarz arcydzieło architektury: świątynię Jowisza, jak twierdzą dawniejsi i wielu dzisiejszych archeologów, zdaniem zaś msgra Bulića i kilku innych, Mausoleum (*mausoleum*) zamienione obecnie na katedrę spalateńską; po prawej stronie wznosiła się świątynia Eskulapa, w następnych wiekach przez wiernych użyta na chrzcielnicę. Między świątynią Jowi-

sza a świątynią Eskulapa było wejście wspieranemi schodami do okrągłego *atrium*, z kąd już wprost szło się do apartamentów cesarskich.

Przypatrzymy się zbliska niektórym częściom pałacu, a przede wszystkim świątyni Jowisza, czy jak chcą inni mausoleum Dyoklecjana, zamienionego na kościół.

Na pierwszy rzut oka przypomina *Panteon* rzymski lub kościół św. Donata w Zarze. Jednakowoż od obydwu jest budową o wiele piękniejszą. Zewnętrzna

strona jest ośmiokątną; otacza ją portyk 24 kolumn z granitu i porfiru o kapitelach korynckich, połączonych ze sobą architrawem marmurowym. Wspaniałe marmurowe schody prowadzą do wejścia świątyni, z boku sfinks czuwa na straży. Wnętrze kościoła jest koliste, o średnicy $13\frac{1}{2}$ metra; ośm kolumn korynckich z granitu wschodniego, barwy biało-czarnej lub biało-czerwonej, odpowiadają ośmiu kątom zewnętrznej budowy. Podtrzymują one drugich ośm kolumn z najcenniejszego granitu i porfiru. Zwrócił na nie moją uwagę msgr. Bulić i do-



Dalmacya. — Sfinks koło kościoła w Spalacie.

dał, że prawdopodobnie pochodzą z Palmiry, a są nieocenionej wartości, ponieważ są z jednego kawałka zrobione, a wiadomo jaką rzadkością są większe odłamy porfiru. Ośm nisz w murach, powiedzmy nawiasem, 3 metry grubości, które poprzednio zapewne miały służyć dla posągów, dziś użyto do ołtarzy. Jedną z nisz nieco rozszerzono i zbudowano w niej wielki ołtarz ku czci św. Dojmy, protektora miasta i pierwszego salonińskiego biskupa, który razem z 45 chrześcijanami zmarł śmiercią męczeńską za cesarza Trajana r. 110.

Dzisiejsza katedra spalateńska, obok wartości architektonicznej, ma także znaczenie historyczne chrześcijańskie.

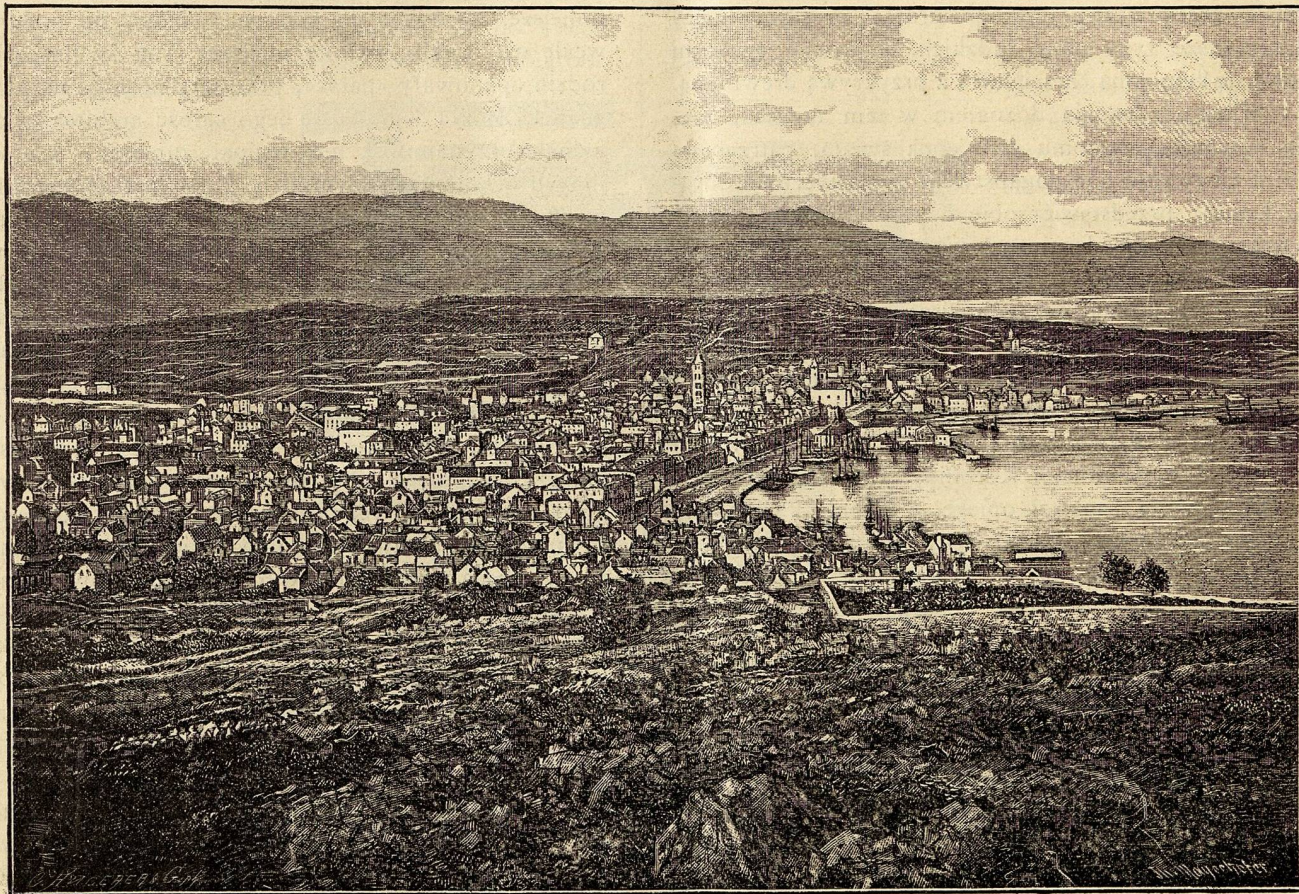
Wiadomo, że pierwsi chrześcijanie tak dalece brzydzili się wszystkim, co służyło kiedyś do kultu bałwochwalczego, że niszczyli chociażby nawet piękne świątynie pogańskie, a już nigdy nie odważyliby się zamieniać je na kościoły. Dlatego nawet w Rzymie, gdzie umiano ochraniać arcydzieła sztuki, nie ocalała sławna świątynia Jowisza na kapitolu i tenże sam los spotkałby *Panteon*, wystawiony przez Agrippę wszystkim bogom i boginiom cesarstwa rzymskiego, gdyby cesarz Honoriusz osobnym dekretem nie położył swego *veto*: »Tak, jak zakazujemy ofiary — mówi cesarz — tak chcemy, aby ozdoby publicznych budynków były zachowane...« — Az do czasów św. Grzegorza W. Papieża, twierdzi

Baroniusz, świątynie pogańskie bywały burzone. Gdy je czasami zachowywano, nigdy nie oddawano do kultu chrześcijańskiego ¹⁾, stosując się w tym względzie — jak mniemano — do rozkazu św. Pawła: *Co za zgoda Kościołowi Bożemu z bałwanami* ²⁾.

Z początkiem VII wieku w łonie Chrześcijaństwa powstała wątpliwość, czy świątynie bałwanom stawiane mają być burzone, czy oddawane do kultu prawdziwego Boga. Św. Grzegorz W. w liście ³⁾ do króla angielskiego Adalberta, który świeżo został chrześcijaninem, poleca

zburzyć świątynie fałszywych bogów; jednak później, głębiej zastanawiając się nad tą sprawą, w liście do św. Augustyna, Apostoła Anglii, zmienia swe zdanie i pozwala pogańskie świątynie zamienić na kościoły, byleby tylko zniszczono w nich bożyszczą ¹⁾.

Dzięki temu orzeczeniu Papieża, najpierw Panteon rzymski Bonifacy IV poświęcił pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny i św. Męczenników, a w lat 30 później, t. j. około 655 r. nie miał już żadnej trudności Jan Rawenneński, pierwszy spalateński Arcybiskup, aby za-



Dalmacya. — Miasto Spalato.

mienić świątynię Jowisza na swój katedralny kościół. Równocześnie arcybiskupią stolicę przeniósł ze Salony do Spalatu, a ponieważ był przedtem jako salonitański Arcybiskup metropolitą całej Dalmacyi, dlatego jego nowa katedra stała się matką wszystkich kościołów w tym kraju.

Wprost naprzeciw dawnej świątyni Jowisza, a po prawej stronie placu *del Tempio* przedstawia się oczom naszym drugie arcydzieło architektoniczne: świątynia Eskulapa, obecnie zamieniona na chrzcielnicę. Niektórzy

twierdzą, że w czystości stylu przewyższa nawet dawne mauzoleum.

Tradycya podaje, że Arcybiskup spalateński Jan z Rawenny poświęcając Eskulapa bóżnicę, zastał w niej jeszcze posąg mitycznego patrona pogańskich lekarzy. U wejścia znajdujemy wielki sarkofag, o którym dawniej mówiono, że mieścił w sobie zwłoki Dyoklecjana. Zbyt jednak jest skromny, aby cesarz wybrał go sobie na pośmiertne mieszkanie. Dziś prawie powszechnie twierdzą archeologowie, że w tym sarkofagu znajdowały się najprawdopodobniej zwłoki Arcybiskupa Jana z Rawenny.

¹⁾ Baroniusz in Martyrologio ad diem III Maji.

²⁾ II List do Korynt. v. VI, w. 16.

³⁾ Epistola 60, lib. 9.

¹⁾ Epistola 71, lib. 9.

Wewnętrzna objętość chrzcielnicy jest ośm metrów szeroka na dwanaście metrów długości. Dotychczas zachowała się wcale dobrze, ponieważ w ciągu wieków straciła tylko cztery kolumny, fronton, oraz 14 stopni ze swego portyku. Do niej także, podobnie jak do świątyni Jowisza wąska smuga światła dziennego padała przez drzwi wchodowe. Ściany jej bardzo są grube, sklepienie jest jeszcze w stanie stosunkowo bardzo dobrym. Lamparty, lwy, naczynia ofiarne, winogrona i inne tym podobne rzeźby, wypełniają dolną część fryzu. Sklepienie podzielone w małe kwadraty, a z każdego z nich wystaje płaskorzeźba dobrego dłuta, przedstawiająca najrozmaitsze typy głów ludzkich. Pośrodku świątyni wznosi się kamienna chrzcielnica z przykrywą drewnianą.

Miłego wrażenia doznałem w tem miejscu, niejako dotykając przełomu dwu epok świata, patrząc na tryumf Chrystusa nad pogaństwem w plastycznym obrazie. Trudno przedstawić sobie odpowiedniejsze miejsce na Sakrament odrodzenia człowieka wodą Chrztu św., jak w tej właśnie świątyni bożka sztuki lekarskiej.

Że Dyoklecyan szczególniejszą czcią otaczał Eskulapa, dziwić nie powinno nikogo, skoro sobie przypomnimy, że miejsce urodzenia tego bożka, jak podaje nam mitologia, była dawna kolonia grecka Epidaurus, miejscowość dziś zwana Raguza-vecchia, lub Stary Dubrownik. Syn Apollina i Koronidy, opuszczony przez niewierną matkę, znalazł opiekę w Dianie i Chironie, ucząc się myślistwa i medycyny. W tej ostatniej takiej nabiera wprawy, iż po jego śmierci w Epidaurze stawia mu ludność świątynię i posąg z kości słoniowej. Ztąd cześć jego rozchodzi się do Grecyi, a przez nią do Rzymu.

Dyoklecyan w wyborze bóstw opiekuńczych nie potrzebował długo się namyślać. Najodpowiedniejszym był ten bożek, z którym go łączyło pobratymstwo plemienne, boć przecież tak Dyoklea, miejsce urodzenia cesarza, jak Epidaur Eskulapa, znajdują się w jednej i tej samej krainie.

* * *

Pałac Dyoklecjana nie długo był przezeń zamieszkały. Po złożeniu władzy nad cesarstwem rzymskiem, zaledwie lat ośm w nim stale przemieszkiwał, t. j. do r. 313, w którym zmarł jako 68 letni starzec. Tradycja podaje, że pałac cesarski przeszedł następnie na własność miasta Salony. Mieszkania *imperatora* zachowano dla znakomitych gości, podczas gdy inne budynki służyły i nadal na fabrykę wyrobów płóciennych. Ponieważ z biegiem lat przestali cesarze rzymscy przybywać do tego pałacu, a nawet nikt z wybitniejszych osób dłużej się nie zatrzymywał, nie poprawiano budowli uszkodzonych zębem czasu, wskutek czego najpiękniejsza jej część poczęła z wolna grozić ruiną. Podczas panowania Gotów w Dalmacyi, które trwało przez

lat 70 i aż do zburzenia Salony, zdaje się prawie pewnem, że w pałacu Dyoklecjana już nikt nie mieszkał, tak był zrujnowany.

Lecz właśnie ta rujnacya może się przyczyniła do powstania na temże samem miejscu pięknego miasta. Oto rodziny salonitańskie, które się schroniły na pobliskie wyspy lub w góry przed powodzią Gotów i Słowian, widząc zniszczone swe siedziby, Salonę do szczętu spaloną, schroniły się około r. 645 do starego pałacu Dyoklecjana, aby w jego ruinach szukać przytułku. Jak kto mógł i umiał, stawiał sobie mieszkanie większe lub mniejsze, stosownie do potrzeb rodziny, bo materyału wcale nie brakło, był na miejscu. Tak z wolna tysiące rodzin opanowały »pałac«, przekształcając go nie do poznania. Znikła wprawdzie jego całość architektoniczna, jednak przynajmniej nie zaginął zupełnie, jak wiele innych w koloniach rzymskich. Pałac stał się początkiem miasta, z wiekami wzrastającego w potęgę, piękności i sławie. Lecz ileż musiało przechodzić klęsk, ile walk toczyć! Historia Spalatu, to obraz jeden z najciekawszych zmiennej kolei losów i potęgi państw, a zarazem ważny pomnik architektoniczny, ponieważ najrozmaitsze epoki wycisnęły na nim odrębne i wybitne piętno.

Tak, najpierw po rzymskich czasach Salona, a za nią Spalato, ulegało aż do wieku IX cesarzom wschodnim. Następnie z kilku innemi miastami Dalmacyi po krótkich własnych republikańskich rządach, oddało się również nie na długo Karolowi Wielkiemu. Po śmierci tego cesarza, Sławianie wypędzili Franków i znowu wracają w poddaństwo bizantyńskich władców. Gdy jednak cesarz Michał Balbus źle się obchodził ze Spalatyńcami, zrzucają ci ostatni jarzmo wschodnie i przez lat 40 znowu się rządzą sami jako niezależna rzeczpospolita, pod opieką i protekcją Bazylego cesarza macedońskiego.

W połowie XI wieku Piotr Orseolo, doża wenecki, opanował Spalato i część Dalmacyi za zgodą Bazylego i Konstantyna, braci cesarzy bizantyńskich, którzy zajęci wojną ze Saracenami i Bułgarami, nie mogli zadośćuczynić zobowiązaniom względem Dalmatyńców: mianowicie chronienia ich od napadów neretwiańskich korsarzy.

Mocą traktatu zawartego w Trogirze, król kroacki Kreszymir W., musiał odstąpić od swych praw do tegoż miasta, Zary, zarówno jak Spalatu, na korzyść Wenecyi. Jednakowoż jej rządy nie podobały się Spalatyńcom, skoro już po 30 latach uległości, znowu oddali się pod opiekę władców greckich. Ci zajęci wojnami, również nie wypełnili zobowiązań względem lennego miasta, gdy Normandowie pustoszyli dalmatyńskie wybrzeża. Skoro więc Wenecyanie odparli swą potężną flotą nieprzyjaciół zarówno swoich jak i państwa wschodniego, cesarz Alexy w nagrodę za tę przysługę, oddał r. 1080 doży weneckiemu miasto Spalato z tytułem księcia Dalmacyi.

Do tego samego tytułu rościli sobie prawo również królowie węgierscy, którzy prawem dziedzictwa otrzymali kraje południowych Słowian. Ztąd wywiązała się długa walka między Wenecją a Węgrami o panowanie nad całą lub częściami Dalmacyi, więc i Spalato raz pod jednym, drugi raz pod drugim był panowaniem, a czasem zdarzało się, że i trzeci pretendent się znalazł i jakiś czas dzierżył nad tem miastem władzę.

Miedzy r. 1105 a 1420 w następującym porządku ulegało Spalato najrozmaitszym państwom: Węgrom od r. 1105 do 1123, Wenecyanom do 1138, Węgrom do 1168, cesarzowi greckiemu Emanuelowi do 1180, Węgrom do 1327, Wenecyanom do 1347, Węgrom do 1390, Twrkowi królowi Bośni do 1394, Węgrom do 1402, Władysławowi królowi Neapolitańskiemu, a przezeń Herwoji królowi Bośni do 1420, poczem aż do końca XVIII wieku należało do Rzeczypospolitej Weneckiej.

Pod panowaniem węgierskiem, jeszcze z końcem XII wieku otrzymało Spalato bardzo rozległe przywileje, tak n. p. nie płaciło żadnych podatków lub danin, miało własne sądownictwo, dowolny wybór biskupów i naczelników miasta, zwanych *Comites*. Co do rządów weneckich, to już powiedzieliśmy niejednokrotnie, że się nie przysłużyły Dalmacyi, więc i Spalatowi. Wprawdzie miasto, jako takie, kwitło za czasów weneckich, prowadziło rozległy handel z Indiami i Persją, powstawały wspaniałe budynki w dobrym włoskim stylu, kwitły nauki, jednak to wszystko było wyłącznie dla przybyszy włoskich, ludność sławiańska żadnej — lub prawie żadnej nie miała z tego korzyści.

Od czasu, gdy w Austrii rządy autonomiczne doszły do pewnej powagi i znaczenia, a świadomość w swą siłę i prawa odżyły w ludach słowiańskich, stosunki w Spalacie wielkim uległy zmianom. Dziś nawet dawne rodziny włoskie poczuwają się do jedności z krajowcami i zarówno między nimi można znaleźć dobrych patriotów, jak i tych, którzy mają nazwiska kroackie. Na wybrzeżu adryatyckiem Spalato, po Raguzie, jest najwybitniejszym miastem pod względem nauki i przemysłu. Możemy nawet powiedzieć, że pierwsze miejsce zajmuje, gdyż co do Raguzy czyli Dubrownika, ten ma

swoją wielowiekową tradycję, jako niezależna Republika i nie powinien iść w porównanie z innemi miastami Dalmacyi, skoro do niej zaledwie od kilkudziesięciu lat należy.

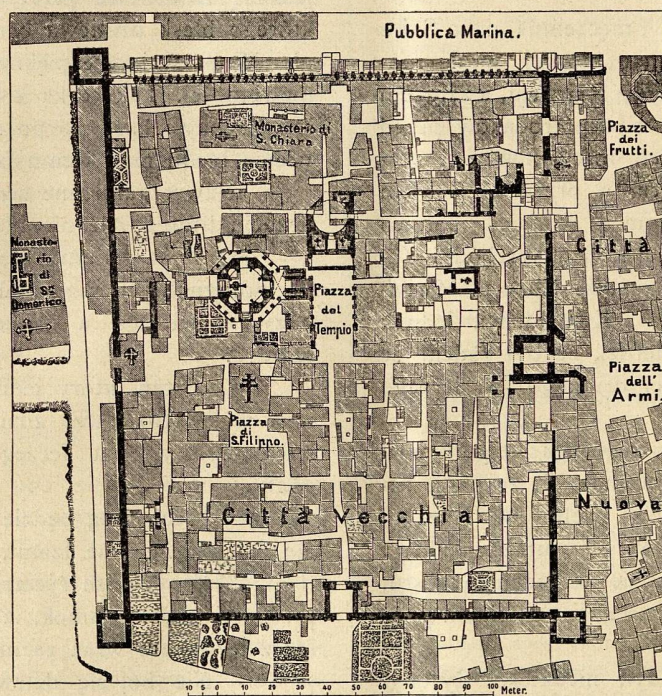
Już sama cyfra mieszkańców przechodząca 20.000, daje Spalatowi pierwszeństwo nawet przed Zará. Stolicę Dalmacyi Spalatyńcy nazywać zwykli z przekąsem: *l'anticamera della luogotenenza* i pragnęliby przenieść naczelną władzę kraju do siebie. Czy się zważy na tradycję miasta, czy na jego położenie zdrowotne, stosunki handlowe i wyjątkowe bogactwo mieszczan, wszystko przemawia za pierwszeństwem Spalatu przed Zará. Zresztą jakkolwiek nie jest rezydencją namiestnika kraju, to jednak zawsze jest sercem Dalmacyi, w którym się skupia życie umysłowe.

Spalatyńscy uczeni znani są daleko po za granicami kraju i czynny biorą udział w życiu naukowem europejskiem. Publikacje historyczne i archeologiczne wysoko są cenione przez pierwsze powagi, czego jednym z dowodów zjazd międzynarodowy archeologów do Spalatu w sierpniu 1894 r.

Okolice tutejsze są nader malownicze, szczególnie od strony morza miasto piękny przedstawia widok. Nad brzegiem ciągnie się długa alea służąca do przechadzki, zakończona po prawej stronie wielkim gmachem szpitalnym, po lewej przechodzi w gościniec, otoczony do-

brze uprawnemi winnicami i ogrodami aż do *sette castelli* i miasta Trau (Trogiru). Wenecyanie dla obrony kraju od korsarzy, zbudowali tu kiedyś siedm zameczków, z których później powstało tyleż wsi czy miasteczek nadmorskich. Trau kąpiące się w morzu wraz ze swem przedmieściem położonem na wysepce, było dawniej zamożnem, wolnem miastem, dziś jest bez żadnego znaczenia. Położenie nader piękne, wegetacja uroczna. Lecz głównym powodem dla czego się tu przybywa, jest wspaniała katedra bizantyńska z złotego kamienia, arcydzieło budownictwa. Niestety nie miałem sposobności oglądać jej zbliska.

Wracając do Spalato, jedna kapliczka św. Kajusza po katedrze najsilniej utkwiła mi w pamięci i przypomniła słuszną chlubę Dalmatyńców. Wiadomo, że św. Kajusz Papież, krewny cesarza Dyoklecjana,



Plan pałacu Dyoklecjana i starej części miasta Spalato
(zob. str. 271 i nast.).

urodził się w Dalmacyi i to w Salonie obok Spalatu. Wstąpiwszy na Stolicę Piotrową r. 283, rządził kościołem w warunkach najtrudniejszych, gdyż podczas najsroższego prześladowania cesarza Dyoklecjana i Maximina. Nie mogąc jawnie, sprawował w skrytości w podziemiach, katakumbach najświętsze tajemnice, święcił kapłanów i biskupów, nawracał pogan. Akta męczenników św. Sebastjana, a więcej jeszcze św. Zuzanny, wiele szczegółów z życia jego podają, a między innemi i ten, że znalazł śmierć męczeńską za to, że umocnił swoją siostrzenicę św. Zuzannę, dziewicę Bogu poświęconą, w postanowieniu odrzucenia ręki Galeryusza Maksymina, z którym Dyoklecjan miał zamiar połączyć ją węzłem małżeńskim.

W ten sposób św. Papież i męczennik, jako Salontanin, jest jedną z tych spójni, o których wyżej mówiliśmy, łączących silnie Dalmacyę z Rzymem, a zarazem opiekuńczym orędownikiem swych współrodaków przed tronem Bożym. Wśród licznych męczenników i wyznawców jakie wydała Dalmacya, a przedewszystkiem samo Spalato lub Salona, jednym z bardziej znanych w tutejszej okolicy, ba nawet daleko na Wschód i Zachód, jest św. Jerzy, rycerz-męczennik. Chociaż Metastast powiada, że był rodem z Kappadocyi, jednak tutejsza tradycja stanowczo twierdzi, że był rodem ze Salony, nie przecząc możliwości drugiego św. Jerzego Kappadocyjczyka.

Bynajmniej nie myślimy rozstrzygać tego sporu hagiografów, to tylko możemy zaznaczyć, że pieśń ludowa od bardzo dawnych czasów wielbi św. Jerzego, jako bohatera ze sławiańskiej ziemi. Oto tutejsza ludowa piękna legenda w wolnym przekładzie z kroackiego tekstu, opowiadająca nam zapasy św. Jerzego ze smokiem podczas jego rycerskich podróży:

»...Pewnego dnia w Lidyi, niedaleko Cyreny, otwarła się głęboka przepaść i służyła za kryjówkę straszego smoka. Potwór ten pożera dzielnych wojowników, chwytą i połyka ręce rumaki i nie boi się nawet stu walecznych rycerzy.

»Gdy wychodzi ze swej pieczary, wszystkich napęlnia trwogą, gdy zaś z głową zwróconą ku Cyrenie zaczyna ryczeć, wówczas nieszczęśliwe miasto drży z przerażenia.

»Każdego rana Cyrena daje mu na pokarm białą owcę i młode dziewczę, które potwór żywcem połyka. Jeżeliby nie dostał tego pokarmu, wówczas wtargnąłby do miasta i wywarł straszną zemstę.

»Gdy strapione matki oplakują córki w samym kwiecie młodości, wydarte z ich objęć, król Cyreny musi z kolei ofiarować jedyne ukochane dziecię, dziedziczkę tronu.

»Nieszczęśliwy monarcha miotany rozpaczą, stroi swą córkę w najpiękniejsze klejnoty, jak gdyby wiozł ją do ślubu i wyprowadziwszy na dziedziniec rzecze:

»Żegnam cię ukochana córko! Módl się do potężnego bożka Akarona, on bowiem może się ocalić. Co do mnie, to dla twego ocalenia oddałbym wszystko co posiadam, całe królestwo, a nawet własne życie! Żegnam cię, a grono niewinnych dziewic niech ci towarzyszy do końca!

»Idzie więc biedne dziewczę na pewną i rychłą zgubę, otoczona gronem szlachetnych dziewic i młodzieńców. Całe miasto jest przygnębione, w każdym oku drży łza bólesci. Jedwabna szata biednej ofiary lekkim unoszona wiatrem, powiewa w powietrzu. Dziecię pierścieni zdobi jej palce, każdy z nich droższy od dziesięciu miast, złotą przepasana jest wstęgą, na szyi jaśnieją najdroższe perły Wschodu, na czole dyadem, którego blask olśniewa bardziej, niż słoneczne promienie. W prawej ręce piękna dziewczica trzyma lilię, godło niewinności. Tak córka króla Cyreny kroczy przez miasto, żegnając każdego po drodze i przysyłając pozdrowienia biednemu swemu ojcu.

»Nawet kamienne serce patrząc na nią, uległoby uczuciu litości. Ale nieubłagany smok oczekuje zeru...

»Oto już świetny orszak zbliża się do przepaści. Po pożegnalnych pocałunkach i kilku łzach gorących wszyscy uciekają a nieszczęśliwe dziewczę pozostaje same...

»Lecz ten, który jednym słowem przemienia ciemność w światło, raczy zdziałać cud potężnem swem ramieniem i wysyła Jerzego rycerza do biednej swej ofiary.

— Niech Bóg będzie z tobą — mówi bohater — ale dziewczę zalane łzami, woła;

— Co czynisz rycerzu! Czyż nie wiesz, że w tej przepaści czatuje smok, aby mię pożarł? Uciekaj — inaczej zginiesz wraz ze mną w jego paszczęce.

— Nie bój się dziewico — uspakaja rycerz. — Jeżeli pragniesz poznać mego Boga, sprawcę tylu cudów, jeżeli wyrzeczysz się swoich bałwanów i świętym znakiem Krzyża naznaczysz swe czoło, wówczas potwór ten zginie a ty wrócisz do ojca.

»Muč' neboj se, gizdava devojko!
Hoćeš poznat Boga velikoga,
A ostavit Akarona twoga?
Hoš' li moju viru virovati,
I mojim se krstom prikristiti,
Ja ću toga zmaja pogubiti,
I od ujega tebe izbaviti«.

— Słuchaj bohaterze! — odpowiada dziewczę — Jeżeli Niebo da ci tyle siły, że zabijesz smoka, to przysięgam, że wyrzeknę się swych bogów i twoją przyjmę wiarę.

»Zaledwie skończyła te słowa, straszny smok wyskoczył z przepaści i wyciągnął pazury ku swej ofierze. Nieustraszony rycerz rzuca się na niego lotem błyskawicy i z okrzykiem *Jezus! Marya!* przebiją go włócznią.

Następnie chwytając przepaskę królowej, zawiązuje dokoła szyi smoka i jeden koniec podaje dziewczęciu, które ciągnie za sobą potwora aż do białego miasta.

»Gdy król ujrzał wracającą córkę, przytulił ją do piersi jak małe dziecko i pocałunkami okrył jej czoło. Potem opłakiwał wszystkie swe winy, przyjął Chrystus święty wraz z dziesięcioma tysiącami wojowników i całe miasto składało hołdy Najwyższemu Panu. Wreszcie zaprosił rycerza do swego białego dworu i w te odezwał się słowa:

— Widzę szlachetny rycerzu niezwykłą moc twego ramienia i wiem, że nadziemska wspiera cię potęga. Zawsze na szyi ten drogi łańcuch, zdobiący pierś najdzielniejszych wodzów. W nagrodę za twe nadludzkie męstwo i poświęcenie, daję ci połowę królestwa, małać to nagroda dla ciebie, a oto moja córka, pojmij ją za żonę.

»Na to odzywa się Jerzy:

— Nie chcę ani jednego twego podarunku. Oddajcieś Wielkiemu Bogu, że cię od złego wybawił, zburzałwany, stawiaj kościoły, ołtarze.

»Neču tvoga dara nijednoga,
Veće hvali Boga velikoga,
Koji te je od zla uklonio,
I paklenog zmaja izbavio;
I obori sve idole stare
Tere gradi crkve i otare.
A ja idem od mista do mista
Pripovidat viru Isukrista¹⁾.

Tak, jak powiedział, udał się w dalekie strony i znalazł śmierć męczeńską w nagrodę swej rycersko-apostolskiej pracy.

Powyższa legenda ma mieć symboliczne znaczenie. Salona oburzona okrucieństwem Galeryusza, podniosła bunt przeciwko niemu, wskutek czego legiony cesarskie poczęły oblegać miasto. Nad nieszczęśliwym grodem zawisła nieuchronna zguba. Wtem jakiś rycerz ukazał się w obłokach i począł włóczyć grozić nieprzyjaciółom. Ci przerażeni dziwnym zjawiskiem poszli w rozsypkę. Rycerzem tym jest św. Jerzy, dziewicą Salona, smok uosabia nieprzyjacielskie legiony.

* * *

Krótki pobyt w rezydencji cesarza Dyoklecjana, nie dozwolił piszącemu złożyć tych wizyt, które w innych warunkach byłyby nieodzowne. Za to spotkała zasłużona kara, chociaż bardzo miła. Oto X. biskup spalateński Nakić, dowiedziawszy się od kogoś o mojem przybyciu, wysłał swego kanclerza z prośbą do siebie na wieczór. Zawstydzony tą uprzejmością X. Biskupa, naturalnie stawiałem się na jego wezwanie i najmilej

¹⁾ Zob. O. A. Kačiča-Mcošiča *Razgovor ugodni naroda Slovinskoga*, I. c. str. 838—846.

spędziłem ostatnie chwile pobytu w Spalato, tem milej, że głównym celem zaprosin była chęć poinformowania się o naszych polskich religijnych stosunkach i o tem wszystkim, o czem ledwie słabe eho dochodzi na południowe krańce Słowiańszczyzny.

X. Marcin Czerminski.

(C. d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Europa. — **Hołd dla misjonarzy.** Z przyjemnością przytaczamy tutaj ustęp z pięknej przemowy, wygłoszonej dnia 27 maja bieżącego roku w kolegium Juilly w Paryżu przez wiceadmirała Humanna, byłego komendanta eskadry francuskiej na krańcach Wschodu.

»Wiem dobrze, że współczesna szkoła filozoficzna, lekceważąc wszelkie historyczne dane, stara się zniszczyć spójnię, jaka istnieje niezaprzeczenie pomiędzy ideą religijną, a wypełnianiem obowiązków obywateli kraju. Zamiast jednak kruszyć kopie z tymi wolnomyślnymi zwolennikami moralności, niezależnej od religii, powiem to tylko: Udać się wraz ze mną do krain leżących na krańcach Wschodu; tam dopiero się przekonamy o wartości waszych teoryj.

»Wśród niezliczonych tłumów przedstawicieli rasy żółtej, przewyższających trzykrotnie swą ilością cyfrę ludności całej Europy, kilka tysięcy misjonarzy, wystawionych często na prześladowanie ze strony ludności i władz rządowych, a wspartych jedynie tą siłą moralną, jaką daje wiara, zasiewa wytrwale dobre ziarno. Pomimo niezliczonych trudności, napotykanych na swej drodze, zacni ci kapłani, dzięki świętobliwemu życiu i bezgranicznemu poświęceniu dla dobra bliźnich, umieją zawsze sobie zjednać uznanie i szacunek.

»Niech mi też nie mówią, że dobroczynny ten wpływ misjonarzy nie przynosi istotnego pożytku ogólnym interesom Kościoła. Wszędzie, gdzie się znajduje jaka stacya misyjna, Kościół coraz to nowych zdobywa sobie synów i moralna jego potęga coraz bardziej wzrasta.

»Jak w Chinach, tak też i w Japonii, dzięki niezmordowanej działalności apostolskich pracowników, ludność udoskonaliła się stopniowo pod względem moralnym i społecznym, oraz zawiązuje ścisłe stosunki z ucywilizowanym światem.

»W przeciągu dwóch lat śledziłem bacznie i z prawdziwą przyjemnością stopniowy wzrost cywilizacyjnego wpływu katolickich misjonarzy na samym krańcu Wschodu i niezmiernie się cieszyłem, jeżeli zdołał w jakikolwiek sposób pospieszyć im z pomocą. Wprawdzie niezmordowani ci pracownicy kroczą częściej po cierniach, niż po różach, lecz żywa wiara w świętość ich sprawy daje zacnym tym kapłanom tak wielką siłę duchową, że żadne zabiegi nieprzyjaciół nie zdołają jej osłabić.

Roczne sprawozdanie z prac apostolskich misjonarzy ze Stowarzyszenia misyj zagranicznych w Paryżu za rok 1893. — Oto jak się zaczyna ten nader ważny i ciekawy dokument:

»Wynikiem prac naszego Stowarzyszenia w ciągu roku ubiegłego było 32.482 chrztów osób dorosłych, 352 nawróceń heretyków i 178.643 chrztów pogańskich dzieci. Chociaż cyfry powyższe są dosyć pokaźne, nie zadawalniają nas jednak całkowicie, chcielibyśmy bowiem rachować każdego roku ilość dokonanych przez nas nawróceń nie na tysiące, lecz na setki tysięcy, nie mówiąc o Sakramencie Chrztu świętego, udzielonego niemowlętom *in articulo mortis*. Nie biorąc w rachubę cudownego zrządzenia Opatrzności, dzięki któremu w rozmaitych misjach objawia się od czasu do czasu nadzwyczajny prąd religijny, możemy przyznać, że cyfry

powyżej wymienione dają przybliżone pojęcie o tem, czego w zwykłych warunkach dokonać może w przeciągu roku działalność dziełci apostołskich pracowników.

»Zresztą ewangelizacja niewiernych nie jest jedynym celem Stowarzyszenia misyj zagranicznych, członkowie jego bowiem, stosownie do życzenia Stolicy Apostolskiej, muszą jeszcze przygotowywać do stanu kapłańskiego najzdolniejszych i najodpowiedniejszych ku temu neofitów, tudzież zaspakając duchowne potrzeby chrześcijan, osiadłych w kraju, będącym polem ich działalności.

»W obecnej chwili w 37 naszych seminariach kształci się 1820 uczniów, duchownej zaś naszej pieczy powierzono 1,051.295 chrześcijan, rozproszonych na przestrzeni niezmiernego terytorium w 3800 stacyach misyjnych, leżących na znacznej odległości jedne od drugich.

Katolicka Anglia. — Niedawno wyszedł z druku *The Catholic Directory* na rok 1894, zredagowany pod kierunkiem X. biskupa Johnsona, doktora św. Teologii i sekretarza Arcybiskupa westminsterskiego. Z wydawnictwa tego widzimy, że w obecnej chwili posiada Anglia (oprócz Szkocyi i Irlandyi), 1 arcybiskupa, 15 biskupów i 2613 kapłanów. Ponieważ cyfra tych ostatnich w r. 1892 wynosiła 2588, w przeciągu więc jednego roku zwiększyła się o 25 osób. Z drugiej strony dycezya Clifton nie posiada obecnie biskupa, skoro go więc otrzyma, wówczas Anglia będzie miała 16 książąt Kościoła. Wreszcie w Wielkiej Brytanii istnieje obecnie 1404 katolickich kościołów i kaplic, których w r. 1892 było 1387.

Z pomiędzy ostatnich nawróceń wymienić możemy przejście na łono katolickiego Kościoła trzech anglikańskich pastorów, a mianowicie: p. Sutherlanda Maklema, byłego wikaryusza przy świątyni anglikańskiej św. Kutberta w Londynie, p. R. S. Wooda, kapelana wojskowego i p. H. C. Briggsa z Plymuthu.

Nadto w przeciągu ostatnich kilku miesięcy przeszło na stronę katolicyzmu czterestu innych pastorów, otoczonych ogólną czcią i szacunkiem dawnych swych współwyznawców.

Postępy wiary w Ananie. — X. Geffroy, misyonarz we wschodniej Kochinchinie, pisze ze stacyi misyjnej Bong-Son w pobliżu Qui-Nhon:

»Bogu dzięki, nawracania się w mojej misyi wzrastają niemal z dniem każdym, tak, że w roku ubiegłym ochrzciłem 1308 osób dorosłych i założyłem piętnaście nowych chrześcijańskich osad. Nigdy jeszcze przez 23 lat misyjnego mego zawodu nie osiągnąłem w przeciągu jednego roku tak pocieszających wyników. Czy rok przyszły również będzie pomyślny, tego nie wiem, a nawet nie śmiem się spodziewać. Bardzo mi daje się uczuwać brak pomocy w misyonarzach, z powodu którego nie mogę ani powiększyć dawnych posterunków misyjnych, ani zakładać nowych.

»Również pomyślnie wyniki otrzymał w Don-qua O. Nezeys, który ochrzcił w roku ubiegłym 500 katechumenów i założył kilka chrześcijańskich osad. Za lat parę, jeżeli Bóg pozwoli, podwoi się dawna ilość chrześcijan w Bongsonie wraz z ilością osad przez nich załudnionych. Dawniej w całej tej prowincyi istniało 32 chrześcijańskie wioski, dziś zaś jest ich już przeszło 50 i to po większej części w tych zakątkach prowincyi, gdzie wiara święta nigdy jeszcze poprzednio nie była głoszona. Wioski te wprawdzie nie są zamożne, ani też gęsto zaludnione, lecz stopniowo wzrosnąć ich dobrobyt a zwłaszcza ilość mieszkańców.

»Grono moich wiernych, które coraz bardziej się zwiększa, będzie się już niebawem składało z 15.000 chrześcijan, osiadłych w czterestu miejscowościach mniej lub więcej od siebie oddalonych. Na pracy mi więc nie zbywa, a nawet częstokroć zdaje się ona przewyższać moje siły, ale pomimo tego staram się o ile możliwości o jak największą ilość neofitów. Na brak wychowawców w moich

ochronkach również uskarżać się nie mogę, gdyż mam ich obecnie 182.

»Widzicie więc, że w przeciągu lat sześciu niezły zrobiliśmy postęp. W chwili naszego przybycia do Qui-Nhon w r. 1887 przyszłość w nader szarych przedstawiała nam się barwach, dzisiaj zaś piękne daje już rękojnie. Niechaj więc Bogu będą za to dzięki!»

Chiny — O. Cherubin, misyonarz Franciszkanin w północnym Szan-tongu przesyła nam następujące sprawozdanie:

»Podczas ostatniej mojej wycieczki do powiatu U-Kuen-Tuin niepomyślnie wieści, jakie otrzymałem z Mio-Roa-Lin, skłoniły mnie do zwiedzenia tej misyi. Wieści te, niestety, były prawdziwe. Zamiast powitać mnie uprzejmie, jak to zwykle dotąd bywało, chrześcijanie okazali mi obojętność, graniczącą z pogardą. Kiedy zapragnąłem udać się do kaplicy, zaprowadzono mnie do nędznej chałupy, której zniszczenie było jakby obrazem moralnego upadku nieszczęśliwych tych dusz.

»Następujący szczegół da wam lepsze jeszcze pojęcie o usposobieniu biednych zbłąkanych chrześcijan. W ostatnich czasach jeden z tamtejszych katechistów zachorował niebezpiecznie, wszyscy zaś krewni i przyjaciele zebrali się dokoła jego łóża. Z początku konający prosił o modlitwę.

— Módlcie się, módlcie się za mnie — powtarzał słabym głosem, ale nikt, niestety, nie myślał spełnić tak słusznego żądania.

— Nie umiecie się modlić — zawołał wreszcie — i to z mojej winy! Umrę, a nikt może nawet nie pomodli się na moim grobie!

»W kilka chwil później, zebrawszy resztę sił, jakie mu jeszcze pozostały, wypowiedział to okropne bluźnierstwo:

— Zresztą po co się modlić, wszak Bóg nie istnieje:

»Potem wpadłszy w szalony jakiś gniew, prosił aż do ostatniej chwili życia, aby zeń zdjęto *przekłętą skórę chrześcijanina*.

»Okropna śmierć niewiernego tego katechisty powinna być wyrwać wrażenie na innych chrześcijanach i skłonić ich do poprawy, ale niestety wielu z nich trwa jeszcze dotąd w swej bezbożności. Jednakże wśród tego nawpół pogańskiego tłumu kilkanaście pobożnych kobiet, nie przestawało wznosić z głębi serca gorących modłów ku niebu, natychmiast zaś po mojem przybyciu prosiły mnie o spowiedź i Komunię świętą. Odtąd zaczęły jeszcze gorliwiej modlić się o duchowe odrodzenie innych chrześcijan. Szlachetne ich apostołstwo wydało niebawem owoce, gdyż w kilka miesięcy później mogłem już powiedzieć, jak ojciec marnotrawnego syna: »Dzieci moje umarły, lecz teraz wróciły do życia«.

»Ponieważ kościół zupełnemu niemal uległ zniszczeniu, należało go odnowić i w tym celu, otrzymawszy pozwolenie od swego biskupa, zaciągnąłem niezbędną pożyczkę, z nadzieją, że łaskawy Stwórca pozwoli mi kiedyś ją zwrócić. Dziś świątynia już zupełnie ukończoną została, ale koszt tej budowy nie są jeszcze pokryte«.

System naukowy w Chinach. — X. Edward Maire, prowikaryusz apostołski z Junnanu pisze w jednym z ostatnich swych listów:

»Główną cechą wykształcenia w Chinach jest zupełna swoboda, każdy bowiem może się uczyć, lub nie, stosownie do własnego upodobania i czerpać oświatę z tego źródła, które za odpowiedzialnie dla siebie uważa. Rząd popiera oświatę, wynagradza wybitniejsze literackie utwory, ale nie wymaga wykształcenia od swoich podwładnych.

Nie należy jednak sądzić, aby zupełna ta swoboda, nadana przez państwo, miała być wynikiem jego niedbalstwa lub obojętności w tym kierunku, przeciwnie, państwo troszczy się o oświatę i o ile możliwości ją popiera. Tak na przykład w każdym mieście, choćby najmniejszym, istnieje jedna lub kilka szkół publicznych, w których bogaci i ubodzy, mali i dorośli bezpłatną otrzymują naukę. W najpod-

rzędniejszych mieścinach bakałarz, opłacany przez rząd, udziela elementarnej wiedzy, we wszystkich zaś większych miastach mieszka nauczyciel, wybrany przez miejscowego mandaryna w celu przygotowywania wykształceńszych Chińczyków do stopnia bakałarza.

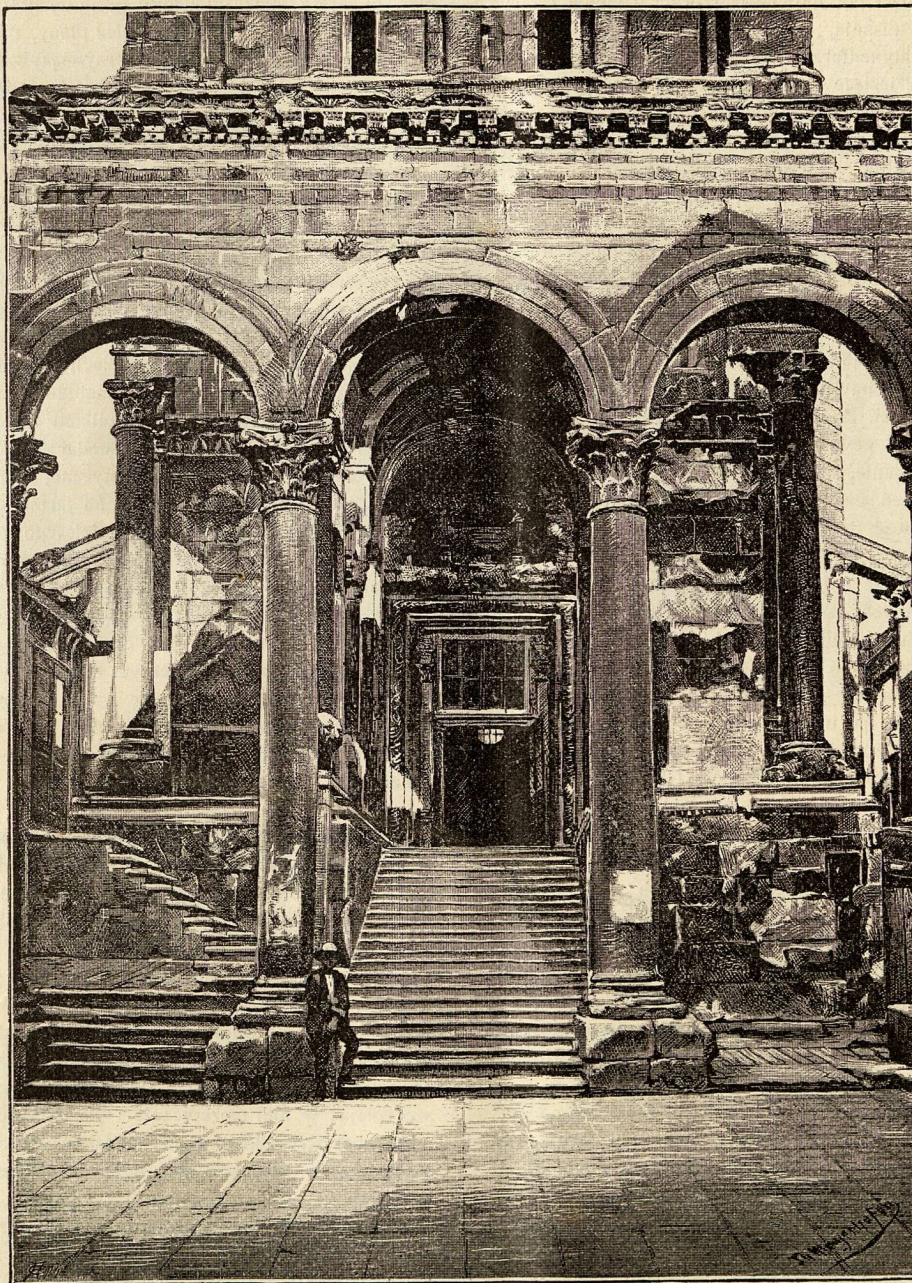
W każdym razie nie wielu stosunkowo uczniów korzysta w tym względzie z cesarskiej wspianolomności. Na wsi odległość od szkoły gminnej utrudnia zwykle uczęszczanie do niej, w miastach zaś tylko najuboższe dzieci chodzą do elementarnych szkółek rządowych. Ponieważ karność wiele w nich pozostawia do życzenia, przedmioty zaś naukowe niezbyt gorliwie bywają wykładane, dlatego też zamożniejsze rodziny nie posyłają tam swych dzieci. Bogaci mają dla nich w domu prywatnego nauczyciela, mniej zaś zamożni robią pomiędzy sobą składkę na opłatę bakałarza. — W taki sposób najuboższe nawet wioski posiadają własne prywatne szkoły, w których lekcje bywają wykładane od pierwszego dnia drugiego księżyca do pierwszego dnia dziesiątego księżyca, podług kalendarza chińskiego, to jest przez przeciąg 9 lub 10 miesięcy.

Głównem zadaniem prywatnego bakałarza jest wpoić dzieciom od pierwszej chwili wstąpienia ich do szkoły głęboki wstręt do uciech i zabaw, właściwych ich wiekowi.

Wesołe okrzyki, skoki, bieganie po ulicy, to dobre tylko dla uliczników — powtarza ciągle bakałarz — ale nie dla chłopców, chodzących do szkoły. Zabawny jest widok kilkoletnich dzieciaków, wychodzących ze szkoły z powagą Katona i nieśmiejących za powrotem do rodzicielskiego domu zdradzić okrzykiem lub najmniejszym gestem swej radości z odyskania swobody. Chińczycy, jak wogóle wszyscy Azyjczycy są apatyczni z natury i podobnie jak wąż boa, nie potrzebują wcale ruchu, a nawet unikają go starannie. Nadto ideałem dla każdego

mieszkańca Wschodu jest uroczysta powaga, połączona z pewną majestatycznością, nauczyciel więc z łatwością zdoła ją zaszczepić w swych uczniach, zarówno słowem, jak przykładem. Wstępując do kollegium, mali nasi dziesięcio lub jedenastoletni wychowawcy są już tak dalece wydoskonaleni w tej przymusowej powadze, że z trudnością możemy ich nakłonić do ruchliwych gier i zabaw podczas rekreacji.

Jeżeli na ulicy uczniowie zachowują się spokojnie, to natomiast w szkole panuje zawsze nieopisana wrzawa. Wszedłszy do klasy, uczniowie składają głęboki ukłon przed obrazem, przedstawiającym Konfucjusza, lub przed tablicą, na której są wypisane główne zasady jego nauki. Następnie każdy z nich podaje nauczycielowi otwartą książkę, ten zaś odczytawszy kilka wierszy, powtarza je głośno cztery lub pięć razy, zważając pilnie, aby uczeń wymawiał każde słowo w takiż sam sposób, jak on. Potem wszyscy wracają na swe miejsca i uczą się głośno zadanej sobie lekcji. Ponieważ każdy uczeń musi się wyuczyć innego ustępu, niż jego towarzysze i powtarza go o ile możliwości jak najgłośniej niezliczone razy, łatwo więc możecie sobie wyobrazić, jaka ztąd tworzy się wrzawa. Hałas ten atoli dosięga kulminacyjnego punktu wówczas dopiero, gdy nauczyciel bijąc po stole prętem, zapowiada uczniom, że niebawem rozpocznie się lekcja, donośnym zaś krzykiem



Dalmacja. — Wejście do kościoła w Spalato.

i żywą gestykulacją stara się podniecić ich pilność.

Po wyuczeniu się lekcji, każdy uczeń podaje znowu książkę nauczycielowi i odwróciwszy się od niego, wypowiada głośno, co miał zadane. Za każde słowo opuszczone lub przekręcone, nauczyciel prętem uderza go po rękę, niepoprawni zaś uczniowie muszą klęczeć dłużej lub krócej przed posągami Konfucjusza. Kary cielesne wymierzane są za lenistwo i nieposłuszeństwo.

Takie ćwiczenie pamięci i płuc powtarza się codziennie od szóstej rano do dwunastej w południe i od pierwszej popołudniu do piątej wieczorem. Łatwo więc zrozumieć, że po skończonych lekcjach dziecko niema najmniejszej ochoty do wyprawiania hałasów na ulicy, a nawet dziwiłby się można, że taka nauka nie przyprowadzi zawczasu biednej dziatwy o suchoty.

Utrwalenie w pamięci jak największej ilości ustępów z ksiąg Konfucjusza, oraz nauka pisania, stanowią cały zakres programu szkół elementarnych. O komentarzach do tych ustępów nie może nawet być mowy, gdyż ubóstwo nie pozwala im marzyć o objęciu jakiegokolwiek urzędu. Nigdzie może niestety bożek Mammon nie liczy tylu gorliwych czcicieli, jak w Chinach, gdzie dla osiągnięcia godności mandaryna nie tyle potrzebna jest wiedza, ile pieniądze.

Fu-Hio, czyli chiński uniwersytet, nader niewiele zwykle liczy słuchaczy. Najczęściej nauczyciele prywatni przygotowują swych uczniów do egzaminu na stopień bakałarza, zyskując w taki sposób zarobek, jeżeli ubóstwo nie pozwala im marzyć o objęciu jakiegokolwiek urzędu. Nigdzie może niestety bożek Mammon nie liczy tylu gorliwych czcicieli, jak w Chinach, gdzie dla osiągnięcia godności mandaryna nie tyle potrzebna jest wiedza, ile pieniądze.

Nietylko średnie, ale nawet wyższe studia, polegają przeważnie na ćwiczeniu pamięci. Zapamiętanie mniejszej lub większej ilości cytat z Konfucjusza i pewna wprawa w ćwiczeniach stylowych, oto jedyne wymaganie, jakie należy zadowolnić, pragnąc otrzymać w Chinach stopień bakałarza. Nadto w skład programu wchodzi również umiejętność tłómaczenia tekstu Konfucjusza wraz z krótkim zarysem narodowej historii. Ponieważ dotychczas jeszcze akademii pekińska nie ułożyła ani dokładnego słownika chińskiego, ani też glossy do starożytnych utworów, każdy więc profesor tłómaczy je podług własnego upodobania. Dzięki temu wykład, zkądną bardzo jednostajny, urozmaica się nieco.

Nauka historii oparta jest przeważnie na kilku powieściach historycznych, a zwłaszcza na urzędowych rocznikach chińskich, zwanych *kang-kien*. Ten *kang-kien* jest suchy zbiór główniejszych wypadków dziejowych w ciągu rozmaitych epok. Chronologia w nim bardzo wiele pozostawia do życzenia, sam zaś tok opowiadania jest nader ciemny, niedokładny, zamglony mnóstwem baśni i zabobonnych podań, w których o krytyce historycznej nie może być mowy. Jak niegdyś w Egipcie, tak dotąd jeszcze w Chinach dwaj dygnitarze państwowi zapisują codziennie wszystkie czyny swojego monarchy, zwanego szumnie »synem nieba«. Obaj ci kronikarze nie mają prawa porozumiewać się ze sobą, a nawet sam cesarz nie jest upoważniony do czytania tego, co o nim piszą. Po śmierci jego zostaje wydana kompilacja z obu tych kronik, stanowiąca główny materiał dla roczników państwowych, w których panowanie każdego monarchy osobny stanowi rozdział.

Widzicie więc, że po 4000 lat, a nawet jak głosi *kang-kien*, po 100.000 lat, Chińczycy w obecnej chwili nie mogą wcale się uskarżać na przeciążenie naukowe. Dzisiejszy program akademicki jest nawet daleko uboższy od programu nauk, wykładanych niegdyś w szkole pałacowej we dworze Karola Wielkiego. Na pierwszy rzut oka uderza w nim najbardziej zupełny niemal brak istotnej dziedziny naukowej, to jest nauk ścisłych, przyrodniczych, politycznych i t. p. Rozwój wszystkich tych gałęzi wiedzy napotyka w Chinach dwie nader trudne do zwalczenia przeszkody, to jest uprzedzenia i przesady ze strony sfer rządzących, oraz opinii publicznej.

Od pewnego czasu nauka astronomii jest w państwie chińskim surowo wzbroniona, tak, że nietylko druk, ale nawet przywóz jakichkolwiek książek, dotyczących ciał niebieskich, ściągania nielitościwe kary. Chińczycy twierdzą, że byłoby zuchwalstwem ze strony ludzi sięgać aż na wyżyny, z których stąpił Syn Nieba, Zresztą u zabobonnego tego ludu astronomia wyrodziła się w astro-

logię, która, jak wiadomo, przyczynia się najbardziej do zaciemnienia i zacieśnienia umysłów.

Geografia również nie znalazła łaski w oczach Chińczyków, a nawet każdy Europejczyk, który się poważy kreślić plany lub mapy, zostaje niezwłocznie posądzony o zdradę stanu.

W obecnej chwili mieszka w Junnanie pewien Duńczyk, pan Jensen, który obdarzył Chiny siecią telegraficznych drutów. Stawiając słupy, pan ten kreślił również plany, niezwykle odznaczające się ścisłością, do których wielką przywiązywał wagę. Pewnego razu, za powrotem z pobliskiego miasteczka, ujrzał z przerażeniem, że kufer, w którym starannie je przechowywał, został otwarty przez kogoś obcego. Bódcem do tego czynu nie mogła być chciwość, ponieważ rozmaite kosztowne przedmioty zostały nietknięte, brakło tylko planów. Pan Jensen więc domyślił się z łatwością, że rysunki jego musiały zwrócić uwagę władz rządowych, które potajemnie zabierać je każyły. Cały zakres nauk matematycznych polega wyłącznie na czterech arytmetycznych działaniach, które zresztą tylko kupcy zajmują się na seryo. Geologia zaś, botanika, zoologia i inne nauki przyrodnicze, zupełnie niemal w Chinach są nieznane.

Cóż wam powiem o sztukach wyzwolonych? Niestety, w cesarstwie Niebieskiem stan ich zasługuje na politowanie, gdyż są one zupełnie wyzwolone od wszelkich estetycznych wymagań.

Najślawniejsze arcydzieła malarstwa chińskiego nie przewyższają wcale pod względem artystycznej wartości szkaradnych obrazów, sprzedawanych w Europie na jarmarkach, o perspektywie zaś Chińczycy nie mają dotąd najmniejszego pojęcia. Rzeźba i architektura spoczywają wyłącznie w ręku robotników, pobierających dziennie od 8 do 10 su (t. j. 20 do 25 ct. w. a.). Muzyka wreszcie jest w Chinach również zdetronizowaną ze swego piedestału, a nawet stanowi przeszkodę do objęcia jakiegokolwiek państwowego urzędu. Trudno zaiste uwierzyć Europejczykowi, że zarówno fryzjerzy, jak i muzycy wraz ze swym potomstwem, wykluczeni są na zawsze z egzaminów na stopień bakałarza, a jednak tak jest w istocie. Dlatego też życzę wam szczerze, abyście nie byli nigdy skazani na słuchanie chińskiego koncertu».

Oceania. — Ochronki w Nowej Pomeranii. X. biskup Couppé ze Stow. misyjny Najśw. Serca w Issoudun, pisze z Kinigunanu:

»Ilość dzieci przyjętych do missyji od chwili założenia ochronek aż do 1 lipca 1893 r., wynosi 68 chłopców i 39 dziewcząt. Jedne z tych dzieci, rodem z Bainigne lub Taulilu, były niewolnikami, inne zaś sierotami, wychowywanymi przez dalszych członków rodziny, którzy je przyprowadzili do missyji, aby się tam wychowywały, dopóki nie dojdą do wieku odpowiedniego do zawarcia małżeństwa. Zbytecznem byłoby mówić, że nam jako misjonarzom, chodzi przedewszystkiem o religijne wychowanie tej dziatwy. Zaszczepiając w niej teoretycznie i praktycznie zasady wiary i moralności chrześcijańskiej, mamy nadzieję, że cała ta młodzież zaprawi się zawczasu do uczciwości, dobrych obyczajów i wszystkich cnót, będących podstawą prawdziwej cywilizacji. Nauka religii polega na codziennej lekcji katechizmu, trwającej godzinę, śpiewaniu hymnów religijnych, tudzież na modlitwie porannej i wieczornej, odmawianej wspólnie przez cały personal missyjny.

»W miarę wzrastania naszych dzieci, będziemy się starali utworzyć osobny oddział, złożony z najstarszych chłopców. Najinteligentniejsi z nich otrzymają staranne wychowanie, aby mózgi zostać katechistami i nauczycielami, inni zaś wyuczą się jakiegokolwiek rzemiosła. Cały ten oddział musi mieć osobne mieszkanie, po wyjściu zaś z zakładu missyja postara się zapewnić swym wychowankom jakiegokolwiek stanowisko, dostarczyć im środków egzystencji a nawet o ile możliwości utworzyć zapomocą tej młodzieży liczne chrześcijańskie wioski. Do osiągnięcia ostatniego tego celu będziemy musieli nabyć wielki kawał gruntu».